

**MUSSET**

**ALFRED**

SPOWIEDŹ

DZIECIĘCIA

WIEKU

Musset Alfred

**Spowiedź dziecięcia wieku**

«Public Domain»

## **Alfred M.**

Spowiedź dziecięcia wieku / M. Alfred — «Public Domain»,

Francuska powieść romantyczna autorstwa Alfreda de Musseta. Głównym bohaterem Spowiedzi dziecięcia wieku jest Oktaw, młody mężczyzna pochodzący z cenionej rodziny. Cierpi on na ciągły wewnętrzny niepokój, ból istnienia, jest nieprzystosowany do życia w świecie. Jest świadom, że dotknęła go tzw. choroba wieku, poczucie wewnętrznej pustki, której doświadczało wielu ludzi w obliczu klęsk po wspaniałej epoce napoleońskiej. Oktaw stara się odnaleźć sens życia w miłości do Brygidy, jednak okazuje się, że relacja również przynosi wiele trudności. W powieści Musseta doszukiwano się wielu wątków autobiograficznych, powiązanych z jego trudną miłością do George Sand, jedną z najbardziej zaangażowanych politycznie francuskich pisarek tego okresu. Spowiedź dziecięcia wieku, wydana w 1836 roku, jest pozycją, która doskonale odzwierciedla wewnętrzne rozterki francuskich twórców tamtego okresu.

© Alfred M.

© Public Domain

## Содержание

Od tłumacza	5
Część pierwsza	17
Rozdział I	17
Rozdział II	18
Rozdział III	26
Rozdział IV	30
Rozdział V	33
Rozdział VI	37
Rozdział VII	39
Конец ознакомительного фрагмента.	41

# Alfred de Musset

## Spowiedź dziecięcia wieku

### Od tłumacza

Pragnę zapoznać czytelników mojej biblioteki z autorem tak dobrze znanym u nas z nazwiska i z legendy, a tak mało ze swoich dzieł: z Alfredem de Musset, jednym z najbardziej uroczych pisarzy francuskich; artystą, który łączy wszystkie przymioty galijskiego umysłu z rzadką w tej rasie wibracją liryzmu, czyniącą zeń niby grającą harfę poezji. Zanim przedstawię inne jego pisma, dojrzałe niewątpliwie i pełniejsze pod względem artystycznym, daję tę oto *Spowiedź*, która najbardziej bezpośrednio pozwala zajrzeć w duszę poety, a zarazem stanowi jeden z nader znamiennych dokumentów romantyzmu. Jest ona ciekawa i przez to, iż dotyczy właśnie owego epizodu życia Musseta, koło którego oplata się jego legenda: miłości do George Sand. Epizodem tym zajmowano się aż do przesytu; jest to zresztą dosyć zrozumiałe. Miłość ta, która, jak górnolotnie mówi jeden z jej historiografów<sup>1</sup>, stała się „równie sławną jak miłość Eneasza i Dydony”, jest jedynym (chyba że postawimy obok niej panią de Stael i Benjamina Constant) w świecie przykładem namiętnego uczucia łączącego dwoje genialnych twórców, dwoje pisarzy wielkiej, mimo iż, bądź co bądź, nierównej miary. Wycisnęła ona piętno zarówno na całym dalszym życiu, jak i na twórczości Musseta. Epoka, na którą przypada owa miłość, pełna fala romantyzmu niosąca z sobą osobliwy styl tych przeżyć, rozgłos, jaki towarzyszył im współcześnie, artystyczna rama wreszcie, którą, jakby wiedziony romantycznym instynktem, dramat ten obrał sobie na swe urzeczywistnienie – wszystko to zapewnia „epizodowi weneckiemu” miejsce zupełnie wyjątkowe.

Literatura osnuta dokoła tego wydarzenia jest ogromna; a rozpoczyna się równocześnie niemal z faktami. George Sand „na ciepło” jeszcze włożyła strzepy przeżyć weneckich w swoje *Listy podróżnika* pisane jakoby do Musseta i drukowane (za jego wiedzą zresztą) w „Revue des deux mondes”. Po zerwaniu Musset pisze *Spowiedź dziecięcia wieku* i *Noce*; w dwa lata po jego śmierci (Musset urodził się w 1810, umarł w 1857), George Sand wydaje powieść *Ona i on*<sup>2</sup> malującą pod przejrzystą osłoną dzieje ich stosunku; na co brat Musseta, Paweł, nieubłagany mściciel cierpień ukochanego Alfreda i nienawidzący George Sand ponad wszelką miarę, odpowiedział krwawą inwektywą w formie powieściowej pt. *On i ona*<sup>3</sup>. Wszczęła się przykra polemika, w której nawet sędziwa matka Musseta zabrała głos. Powstały stronnictwa **Mussetystów** i **Sandystów** obrzucające zniewagami bohaterów przeciwnego obozu. Nawet trzeciego aktora dramatu, Bogu ducha winnego lekarzynie włoskiego Pagello, wciśnięto do sporu: jeszcze w r. 1896, interviewowali<sup>4</sup> skrzętni biografowie sędziwego patriarchy, który dożył dziewięćdziesiątki, o szczegóły tego chlubnego epizodu z jego życia z r. 1834! Sam Pagello w kilkanaście lat po wypadkach spisał *Pamiętnik*, kreśląc w sposób, zdaje się, więcej barwny niż ścisły dzieje swoich przygód z George Sand i Mussetem. Rodzina Musseta sprzeciwiała się długo ogłoszeniu listów kochanków; krążyły jedynie w urywkach, w odpisach; wreszcie w r. 1904 ogłoszono je drukiem w Brukseli w całości: tj. o tyle o ile, niektóre bowiem zdania padły już wprzód ofiarą nożyczek George Sand.

Jak można się domyślać, komentatorowie rzucili się na tę historię, widząc w niej łup obfity i ponętny. Napisano całe tomy; mimo to, nie mówiąc o uczuciach, nie wyświetlono nawet wszystkich

---

<sup>1</sup> jeden z jej historiografów – Charles Maurras w *Les amants de Venise*. [przypis tłumacza]

<sup>2</sup> *George Sand Ona i on* – Później George Sand powróci jeszcze do tych wspomnień w dziele pt. *Historia mego życia*. [przypis tłumacza]

<sup>3</sup> *George Sand Ona i on, Paul Musset On i ona* – Na ten sam temat Ludwika Colot napisała powieść pt. *On*. [przypis tłumacza]

<sup>4</sup> *interviewować kogoś* (neol.) – przeprowadzać z kimś wywiad. [przypis edytorski]

faktów w tym romantycznym epizodzie. Zanadto jest załgany poezją. Literatura przeszła tędy w dwojakim kierunku: raz stylizując już same przeżycia bohaterów na modłę literacką o wybitnym zabarwieniu epoki; po wtóre stylizując je tym bardziej w chwili, gdy przelewały się na papier. W rezultacie posiadamy tu garść bardzo ciekawych dokumentów, z których niektóre są klejnotami poezji, i każdy z badaczy układa z tych kamyczków swoją mozaikę, kształtując ją wedle własnych sympatii i poglądów.

Im bardziej wczytywać się w akta tej sprawy, tym bardziej wydaje się ona psychologicznie zawiłą i złożoną. Czyż nie jest zresztą zawiłą każda kontrowersja tego rodzaju? Pojęcia nasze o miłości, jak w ogóle o życiu są bardzo konwencjonalne, ponieważ, zanim zaczniemy myśleć i patrzeć, już otrzymujemy je w gotowej postaci z literatury z pierwszej, czy też z drugiej ręki. Literatura, niezdolna ogarnąć życia w jego niezmiennym bogactwie, upraszcza je, schematyzuje (przykładem choćby ta *Spowiedź dziecięcia wieku* w zestawieniu z wydarzeniami, z których się urodziła!). Wstydlivość, lenistwo, rutyna oddalają nas od szczerości. Jeden Rousseau w swoich *Wyznaniach* chciał być szczerym za wszelką cenę: cena okazała się diabelnie wysoka. Ileż obrzydliwości nam odślonił, których mu potomność do skończenia świata nie daruje! Ach, tak! życie ujawnia się w gabinecie lekarza, przy konfesjonale (o tyle o ile, bo i tam wciska się rutyna kategorii myślenia), przed kratkami sądowymi pod krzyżowym ogniem pytań brutalnych i ostrych jak nóż chirurga... Ale też biada człowiekowi, bodaj „najporządniejszemu”, który zahaczy się przypadkowo o straszliwą maszynę sądową i narazi się na wywleknięcie na światło tajemnic jego życia. Najbardziej delikatne i bolesne problemy egzystencji w jakże szpetnym, trywialnym, komicznym nieraz występują świetle! A właśnie przedmiotem takiego śledztwa, prowadzonego przez „historię literatury”, stają się wielcy ludzie, wielcy artyści, typem swojej psychiki, swego życia z konieczności tak bardzo oddaleni od dogmatów przeciętności. A wreszcie, gdzie jest „prawda”? czy jest nią **fakt**, czy **uczucie**, czy jakieś X, które nie jest żadnym z nich?

Nie mam zbytniego zamiłowania do takich analiz; ograniczę się tedy do rzeczowego przypomnienia faktów tej znanej historii, ponieważ są one niezbędne jako komentarz do *Spowiedzi dziecięcia wieku*; książka ta, gdybyśmy jej nie brali jako fantazję na tle istotnych przeżyć poety, straciłaby wiele na prawdzie i kolorze. Zarazem wplotę w tok opowiadania nieco dokumentów, bardziej niż cokolwiek innego pozwalających czytelnikom pochwycić **tonację**, na którą były nastrojone dusze uczestników dramatu.

Zatem 22-letni Musset, głośny już i rokujący najpiękniejszą przyszłość poeta, oraz 29 letnia Aurora Dudevant, separowana z mężem, matka dwojga dzieci, nie mniej głośna (pod pseudonimem literackim George Sand) autorka *Indiany*, *Walentyny* i drukującej się właśnie *Lelii*, spotkali się po raz pierwszy na obiedzie u redaktora „Revue des deux Mondes”, Buloza. Stało się to w czerwcu 1833, z końcem zaś sierpnia tegoż samego roku byli kochankami. Musset, smukły, nerwowy, pełen wdzięku i iskrzącej werwy z odcieniem dandyzmu, miał za sobą parę lat hulanki oraz światowych miłostek; George Sand, brunetka o typie kreolki i ogromnych, czarnych oczach, skupiona, małomówna, pochłonięta pracą, miała również przeszłość miłosną, a figurowały w niej dwa nazwiska literackie: Juliusz Sandeau (prototyp Balzakowskiego Stefana Lousteau; powieść Balzaka *Muza z zaścianką* zawiera niewątpliwie wiele rysów z pożycia tej pary) oraz Prosper Mérimée. Doświadczenia te zostawiły w jej sercu jedynie osad zawodu i goryczy. Nowy stosunek miłosny, zrazu podjęty przez obie strony z entuzjazmem, rychło począł się mącić; główną przyczyną był tu charakter Musseta, nierówny, szukający w miłości kanwy do dramatycznych przeżyć, obdarzony jakąś frenetyczną potrzebą cierpienia i zadawania bólu. Brutalny sceptycyzm w stosunku do kobiet i miłości, wybuchy zazdrości o przeszłość kochanki, dawały przyczynę do ciągłych burz. Raz po raz zerwanie wisiało na włosku; ale nazajutrz po najgwałtowniejszej scenie Alfred wracał do stóp kochanki skruszony, pełen tkliwości i żalu...

Spodziewając się w ucieczce od świata znaleźć uspokojenie, kochankowie udają się z końcem r. 1833 do Włoch. Poczawszy od Genui, George Sand zaczęła niedomagać na zdrowiu; tuż po przybyciu

do Wenecji położyła się do łóżka wśród objawów jakiejś febry. Musset, nerwowy, niecierpliwy, niezdolny do roli siostry miłosierdzia, ucieka od smutnego pokoju chorej, zaniedbuje ją, ugania po Wenecji, pije (skłonność do pijaństwa, która miała później pochłonąć go zupełnie, datuje się od młodych lat), słowem, na wszelki sposób „używa życia”. **Sandyści** notują, iż poeta zgrał się na słowo na 10 000 franków, na którą to sumę towarzyska jego musiała znaleźć pokrycie, hipotekując ją na przyszłych płodach swego pióra; **Mussetyści** sprowadzają tę sumę do skromniejszych rozmiarów 360 franków, na które kredyt Musseta w „Revue des deux Mondes” wystarczał w zupełności... Rys ten cytuję na dowód, jaka rozbieżność sądów zachodzi tu nawet w rzeczach tak ścisłych jak cyfry: cóż dopiero mówić o zakresie uczuć! Podobno Musset oświadczył wręcz towarzysze, że się pomylił i że jej nie kocha; przychodzi do gwałtownych scen, niemal do zerwania; mieszkają obok, ale drzwi łączące ich pokoje zostają zamknięte.

Wśród tego George Sand, która była niezmordowaną pracowniczką pióra<sup>5</sup>, pisze swoim zwyczajem bez wytchnienia, aby nastarczyć potrzebom wspólnego gospodarstwa. Z kolei Musset zapada na zdrowiu; dostaje silnej gorączki (tyfus?), która (być może na tle alkoholycznym?) przybiera charakter ostrej maligny. George Sand, stłumiwszy urazy, pielęgnuje go z tym oddaniem macierzyństwa, które stanowi dominującą cechę jej charakteru. Pomaga jej w tych trudach młody miejscowy lekarz Pietro Pagello. Jakiej natury uczucia popychają George Sand w ramiona Pagella, nie silę się wyjaśniać; dość iż, podjąwszy sama trudy pierwszych kroków, zostaje, podobno jeszcze przy łożu chorego Musseta, jego kochanką. Tak twierdzą uporczywie **Mussetyści**; **Sandyści** oddalają ten fakt jako nazbyt „potworny”; pozostawiam czytelnikom i czytelniczkom swobodę psychologizowania na ten temat. (Zaciekli **Mussetyści** utrzymują nawet, opierając się na podejrzanym co prawda świadectwie Pawła de Musset, iż chory poeta **widział** wręcz George Sand w objęciach Pagella, ale że później kochanka, przy pomocy lekarza-wspólnika, wmówiła weń, że to była halucynacja, ba, nawet dała do zrozumienia, iż, gdyby się upierał, byłoby to dowodem, że jest **oblakany**, i pociągnęłoby odpowiednie następstwa!!...)

Spokojne i wolne od literackich subtelności uczucie Pagella ńci George Sand jako wypoczynek po szalach poety, którego znowuż zazdrość sprowadza do stóp kochanki. Tutaj następuje okres, który w piątej części *Spowiedzi dziecięcia wieku* znajduje, jak się zdaje, wierne odbicie: miłość, przyjaźń, łyzy, braterstwo dusz, troje serc zespolonych jednym węzłem, licytacja na heroizm, na poświęcenie, oto ton, jaki dla tych dwojga poetów, wykarmionych na *Nowej Heloizie*<sup>6</sup>, dających w zupełnej izolacji od realnego życia swobodny bieg fantazji, stał się chlebem powszednim. A Pagello też dostroił się do stylu i, całując z rozczuleniem George Sand, powtarzał o „*il nostro amore per Alfredo*”<sup>7</sup>... Nie obyło się przedtem bez burz, w których takie ewentualności jak zabójstwo, pojedynek, samobójstwo były na porządku dziennym; w końcu jednak rzeczy wzięły taki obrót: Musset **odkrywa** wzajemną miłość George Sand i Pagella, wydobywa z tego ostatniego wyznanie i czyni ze swego szczęścia ofiarę na ołtarzu przyjaźni; ustępuje dobrowolnie, kojarząc ręce kochającej pary. Wszyscy troje wylewają łyzy radości i entuzjazmu, po czym Musset, wyściskany przez kochankę i Pagella, z którym wymienili zaklęcia dozgonnej przyjaźni (czyż młody lekarz nie ocalił poecie życia? a teraz czyż nie wraca mu go drugi raz, dając szczęście ubóstwianej przez Alfreda kobiecie?), zostawia George Sand jej nowej miłości i sam wyjeżdża do Paryża.

Tak przedstawiały się poecie te sprawy tuż po rozstaniu i poniekąd w epoce, gdy pisał *Spowiedź dziecięcia wieku*. Później, kiedy – w części pod wpływem „życzliwych” języków – ochłonął z tej wzniosłej egzaltacji, jad podejrzeń wmieszał się w czyste wspomnienie. Jeżeli George Sand była kochanką Pagella już wcześniej, jeżeli całe jej postępowanie było grą i miało na celu łagodne pozbycie

<sup>5</sup> była niezmordowaną pracowniczką pióra – Opowiadają, iż raz, skończywszy jednej nocy powieść przed upływem zwyczajnej ilości godzin pracy, natychmiast rozpoczęła drugą, czyniąc tylko tyle przerwy, ile było potrzeba na zapakowanie rękopisu i położenie na nim adresu wydawcy. [przypis tłumacza]

<sup>6</sup> *Nowa Heloiza* – powieść sentymentalna Jeana Jacques'a Rousseau. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *il nostro amore per Alfredo* (wł.) – naszej miłości do Alferda. [przypis edytorski]

się Alfreda, jeżeli on w porywie wzniosłości pobłogosławił miłość dwojga osób, które się dawno bez tego błogosławieństwa obeszły, w takim razie w istocie poeta odegrał w swoich oczach dość komiczną rolę... Daleki zresztą jestem od ironizowania sytuacji, które życie spłaszcza swoją nieubłaganą ciężką stopą, ale które wynikły ze szlachetnej chęci wzniesienia się ponad płaskość życia.

Na razie jednak jesteśmy na szczytach egzaltacji. Musset z drogi do Paryża pisze do dawnej kochanki gorące i tkliwe listy; ona odpowiada mu w tonie macierzyńskiej serdeczności. Przytoczę parę urywków tej korespondencji, którą George Sand odczytywała wspólnie z oddanym Pagellem.

Musset pisze z Genui:

„Ujrzałem się w lustrze, poznałem to samo dziecko. Cóżżeś ty uczyniła, biedactwo moje drogie? I to był człowiek, któregoś chciała kochać! Miałaś dziesięć lat cierpienia w sercu, miałaś od dziesięciu lat nieugaszone pragnienie szczęścia i to była trzcina, na której chciałaś się oprzeć! Ty, ty kochałaś mnie! Mój biedny Jerzy, dreszcz mnie przechodzi na tą myśl. Byłaś przy mnie tak nieszczęśliwa! I w jakież straszliwe kłęski omal cię nie wtrąciłem! Długo będę widział, Jerzy mój, tę twarz pobladłą od czuwania, która przez ośmnaście nocy pochylała się nad moim wezglowiem, długo będę cię widzieć w tej nieszczęsnej izdebce, gdzie popłynęło tyle łez. Biedny Jerzy, biedne drogie dziecko! Omyliłaś się, uważałaś się za mą kochankę, a byłaś jedynie moją matką. Niebo stworzyło nas dla siebie wzajem; dusze nasze w swej wyniosłej sferze poznały się niby dwa ptaki w górach; pomknęły jedna ku drugiej; ale uścisk był za mocny. Popelnialiśmy kazirodztwo.

Tak, moja jedyna przyjaciółko, byłem dla ciebie istnym katem, przynajmniej w ostatnich czasach. Zadałem ci wiele cierpień, ale, Bogu chwała, nie zrobiłem najgorszego, co mogłem. Och, dziecko moje, żyjesz, jesteś młoda, przechadzasz się pod najpiękniejszym niebem, wsparta na ramieniu człowieka, którego serce jest godne ciebie. Zacny młodzieniec! Powiedz mu, że go kocham i że nie mogę powściągnąć łez, myśląc o nim”.

George Sand podejmuje ten ton. Napawając się spokojną miłością Pagella, pracując przy tym po siedem, osiem, czasem trzynaście godzin na dobę, czuje jeszcze w sercu nadmiar tkliwości, która teraz, wyzwolona wyjazdem poety z drażliwej komplikacji życiowej, płynie swobodnie za odjeżdżającym:

„Czy byłam twoją kochanką czy matką, mniejsza; czy zrodziłam w tobie miłość czy przyjaźń, czy byłam z tobą szczęśliwa czy nieszczęśliwa, wszystko to nie zmienia nic w obecnym stanie mojej duszy. Wiem, że cię kocham, to wszystko. Czuwać nad tobą, chronić cię od wszelkiej przeciwności, dostarczać ci przyjemności i rozrywek, oto potrzeba, oto żal, jakich doświadczam od czasu, jak cię straciłam. Czemu to zadanie tak słodkie, i które byłabym spełniała z taką radością, stało się stopniowo tak gorzkie, a potem zupełnie niemożliwe? Co za fatalność zmieniła w truciznę lekarstwa, które ci podawałam? Czemu ja, która wysączyłabym wszystkim krew, aby ci dać jedną noc spokoju i wytchnienia, stałam się dla ciebie męczarnią, plagą, upiorem? Kiedy te straszne wspomnienia nawiedzą mnie (a czyż jest godzina, w której by mnie poniechały?) czuję się bliską szaleństwa. Oblewam poduszkę łzami, słyszę głos twój wołający mnie w ciszy nocnej. Któż mnie zawoła teraz? kto będzie potrzebował mego czuwania? dla kogo zużyję siłę, którą zgromadziłam dla ciebie, a która teraz obraca się przeciw mnie samej? O moje dziecko! moje dziecko! jak ja potrzebuję twojej tkliwości i twego przebaczenia!”

W innym liście:

„Pagello jest to prawdziwy anioł i zasługiwałby na to, aby być szczęśliwym... Spędzam z nim najśodsze chwile w dniu, rozmawiając o tobie. Ten człowiek jest taki tkliwy, taki dobry! Tak dobrze rozumie mój smutek, szanuje go tak religijnie”.

I znowuż:

„Twoje wspomnienie jest świętą relikwią, imię twoje jest uroczystym słowem, które wymawiam wieczór wśród ciszy lagun, a odpowiada na nie wzruszony głos, i to słowo słodkie, proste i zwięzłe, ale które wydaje mi się wówczas tak piękne: *Io l'amo*<sup>8</sup>!”

Urywki z listów Musseta:

„Pomyśl, ja mam tylko ciebie: wszystkiemu przeczyłem, wszystkiemu bluźniłem, wątpię we wszystko, wyjąwszy w ciebie. Czy wiesz, dlaczego kocham tylko ciebie?... Nie łudzę się co do żadnej z twoich wad; nie kłamiesz, oto dlaczego cię kocham. Przypominam sobie dobrze ową noc... Ale, powiedz, gdyby nawet wszystkie moje podejrzenia były prawdą i w czym mnie oszukiwałaś? Czy mówiłaś mi, że mnie kochasz? Czy nie uprzedziłaś mnie? Czy miałem jakie prawo? O, moje ukochane dziecko, wówczas gdyś mnie kochała, czyś mnie oszukała kiedy? Czyż mogłem ci uczynić najłżejszą wymówkę przez te siedem miesięcy, które widywałem cię dzień po dniu? I gdzież jest człowiek tak nikczemny, aby nazwać przewrotną kobietę, która ceni go na tyle, aby go uprzedzić, że godzina jego nadeszła? Kłamstwo, oto czym się brzydzę, i co mnie czyni najbardziej nieufnym z ludzi, może najniezszczęśliwszym. Ale ty jesteś równie szczerą jak szlachetną i dumna. Oto dlaczego wierzę w ciebie i będę cię bronił przeciw całemu światu do ostatniego tchu”.

„Czy wiesz, co mnie zachwyciło w twoim liście? To sposób, w jaki mówisz o Pagellu, o jego dbałości o ciebie, o twoim dlań przywiązaniu i szczerość, z jaką pozwalasz mi czytać w swoim sercu... Wierzaj, kobieta która tak mówi o nowym kochanku temu, którego opuszcza i który kocha ją jeszcze, daje mu najwyższy dowód szacunku, jaki mężczyzna może otrzymać od kobiety.”

O, Janie Jakubie<sup>9</sup>, zaiste, twoje ziarno nie padło na opokę!

„Powiedz Pagellowi, że dziękuję mu za to, że cię kocha i że czuwa nad tobą. Czyż to nie jest najpociesniejsza rzecz w świecie to uczucie? Kocham tego chłopca prawie tak jak ty: wytłumacz to, jak umiesz. Jest przyczyną, iż straciłem całe bogactwo mego życia, a kocham go, jak gdyby mi je dał. Nie chciałbym was widzieć razem, a szczęśliwy jestem myśląc, że jesteście razem. Och, mój aniele, mój aniele, bądź szczęśliwa, wówczas i ja będę szczęśliwy”.

Pagello nie pozostaje nieczuły na te wylewy. Oto urywek z jego listu:

„Drogi Alfredzie, nie pisaliśmy jeszcze do siebie, może dlatego że żaden z nas nie chciał być pierwszy. Ale to w niczym nie uszczupla tego wzajemnego przywiązania, które zawsze nas będzie spajało za pomocą węzłów tak wzniosłych a niezrozumiałych dla świata”.

Mimo tej doskonałej harmonii trojga dusz George Sand odczuwa niekiedy w objęciach Pagella tęsknotę za burzliwą miłością poety, która tak szczerze umiała wypełnić jej życie:

---

<sup>8</sup> *Io l'amo* – kocham go. [przypis tłumacza]

<sup>9</sup> *Jan Jakub* – tu: Jean Jacques Rousseau (1712–1778), francuskojęzyczny pisarz i myśliciel pochodzący ze Szwajcarii, twórca epoki schyłkowego oświecenia, sentymentalizmu, prekursor romantyzmu. [przypis edytorski]

„Przywykłam do entuzjazmu i brakuje mi go niekiedy... Tutaj nie jestem panią Sand; pocziwy Pietro nie czytał *Lelii* i nie sądzę, aby z niej coś zrozumiał. Pierwszy raz w życiu kocham bez namiętności.

Otóż ja potrzebuję cierpieć dla kogoś; potrzebuję zużyć ten nadmiar energii i uczucia, jaki jest we mnie. Potrzebuję dać pokarm tej macierzyńskiej troskliwości, która przywykła czuwać nad cierpiącą i znużoną istotą. Och! czemuż nie mogę żyć między wami dwoma i dawać wam szczęście, nie należąc do żadnego z was”.

Tutaj zaczyna się nowy akt tej romantycznej tragikomedii. George Sand wraca do Paryża i z osobliwym jak na tak rozumną kobietę brakiem orientacji wlecze za sobą Pagella. Jedną z pobudek podróży Pagella jest chęć „uściskania Alfreda”, który również gorąco go do tego zachęca. Od pierwszego dnia fikcja tej wzniosłej „trójcy” wyrojona w egzotycznych warunkach pobytu w Wenecji staje się niemożliwą: życie codzienne spłaszcza ją i wykrzywia. Nicość biednego Włocha, który na tle lagun odniósł tryumf nad poetą, ujawnia się w sceptycznej atmosferze Paryża zbyt jaskrawo. Pagello, nie czując pewnego gruntu pod nogami, robi się drażliwy, zazdrosny; nie wie, co z sobą począc w tym artystycznym świątku, w którym kochanka jego odnalazła się jak w swoim żywiole. George Sand wymyka mu się, Musset jest dlań uprzejmy, ale sztywny; w dodatku jest kuso z pieniędzmi, mieszka osobno w nędznym hoteliku... Aby zabić czas i spożytkować tę niewczesną podróż, Pagello uczęszcza do szpitali paryskich.

Spotkanie Musseta z George Sand rozpało na nowo w sercu poety wszystkie ognie miłości. Postanawia uciec, opuścić kraj na zawsze; jakoż w istocie wyjeżdża do Badenu, ale jedynie po to, aby stamtąd pisywać w coraz płomienniejszym tonie:

„Nigdy żaden człowiek nie kochał tak, jak ja ciebie kocham... Tonę, pławię się w miłości; nie wiem już, czy żyję, czy jem, czy chodzę, czy oddycham, czy mówię: wiem, że kocham. Ach! jeżeli miałś przez całe życie niewygasłe pragnienie szczęścia, jeżeli to jest szczęście być kochaną, jeżeli kiedy prosiłaś o nie Boga, och ty, moje życie, moje dobro, moja ubóstwiana, spójrz na słońce, na kwiaty, na zieloność, na świat! Jesteś kochaną, powiedz to sobie, tak jak Bóg może być kochany przez swoich lewitów, wyznawców, męczenników. Kocham cię, ty moja krwi, moje ciało! Umieram z miłości, miłości bez końca, bez nazwy, szalonej, rozpaczliwej, zatraconej; kocham cię, uwielbiam, ubóstwiam aż do ostatniego tchu! Nie, nie wyleczę się. Nie, nie będę próbował żyć; i wolę to: umrzeć kochając cię, to więcej warte niż żyć. Dużo dbam o to, co ludzie powiedzą! Powiedzą, że masz innego kochanka. Wiem o tym, płacę to życiem. Ale kocham, kocham, kocham! Niech mi zabronią kochać!”

„Powiedz mi, że mi dajesz twoje wargi, twoje zęby, włosy, wszystko, tę głowę, która była moją, i że mnie tulisz do siebie, ty, mnie! O Boże, o Boże, kiedy myślę o tym, gardło mi się ściska, w oczach mi się ćmi, kolana uginają się pode mną. Och! straszne jest umierać, straszne jest kochać w ten sposób. Cóż za pragnienie, Jerzy mój, cóż za pragnienie ciebie!... Umieram. Żegnaj”.

Jak można się domyślić, Musset nie umiera, ale wraca do Paryża. George Sand, którą wszystko popycha w objęcia Alfreda, upiera się przez konsekwencję w marzeniu o związku trojga dusz, wyzwolonych od zmysłów. Ale już i Pagello zbuntował się przeciw tej mistycznej trójcy:

„On, który wszystko rozumiał w Wenecji, z chwilą gdy stąpił nogą we Francji, nie rozumie już nic i jest w rozpacz. Wszystko we mnie rani go i drażni. Mamż powiedzieć? Jedzie, już może pojechał w tej chwili, a ja go nie zatrzymam, ponieważ jestem obrażona do głębi duszy tym, co mi pisze, i ponieważ, czuję to dobrze, nie ma w nim już wiary, tym samym więc nie ma i miłości”.

Wielkie kobiece słowo: wierzysz swoim oczom raczej niż mnie, **zatem** już mnie nie kochasz!

„Rozwiał się tedy piękny poemat naszej świętej przyjaźni i tego idealnego związku, jaki się wytworzył między nami trojgiem wówczas, kiedy zeń wydarłeś w Wenecji wyznanie, że mnie kocha, i kiedy ci poprzysiągł, że mnie uczyni szczęśliwą... Wszystko to było tedy jedynie bajką? Tak, tylko majakiem i ja jedna, ja głupia jak dziecko, brnęłam z ufnością i z dobrą wiarą! I ty chcesz, abym po przebudzeniu, kiedy widzę, że jeden mnie pragnie, a drugi porzuca mnie i znieważa, abym wierzyła jeszcze w szczytną miłość!”

„Fatalność”, jak mówi libretto *Pięknej Heleny*<sup>10</sup>, zrobiła swoje. Jerzy<sup>11</sup> skłonił się w ramiona Alfreda, zanim jeszcze Pagello opuścił Paryż. Oto jak w swoim dzienniku Włoch kreśli chwilę rozstania:

„Pożegnanie nasze było nieme; uścisnąłem jej rękę, nie mogąc patrzeć na nią. Była jakby pomieszana; nie wiem, czy cierpiała; czuła się zakłopotana moją obecnością. Nużył ją ten Włoch, który swoim prostym zdrowym rozsądkiem, podcinał niezrozumianą wzniosłość, w jaką miała zwyczaj spowijać przesyty swoich miłostek.”

Ostatni rozdział romansu, jaki następuje, przynosi moment równie nieoczekiwany jak wzruszający. Można się domyślić, iż pożycie złączonych na nowo kochanków dalekie było od harmonii. Ten sam Musset, już poprzednio do szaleństwa zazdrosny o przeszłość, do której nie miał żadnego prawa, czyż mógł zapomnieć o tym, co tak świeżo przeorało jego życie, zbrukało jego miłość? Od pierwszej chwili szarpanie, piekło, brutalne plwanie w oczy wszystkich faktów odartych już z idealnej frazeologii... Raz po raz, poeta grozi zamordowaniem kochanki; to znów ucieka, rzuca ją, zamyka się w domu. Egzaltacja udziela się i jej; ta spokojna, zrównoważona kobieta rywalizuje z kochankiem w szaleństwach miłości. Jest tu zarazem coś z gry, w której każda strona kładzie swą ambicję w tym, aby mieć ostatnie słowo. Dodajmy, iż cały Paryż przyglądał się z zaciekawieniem temu turniejowi, którego wszystkie etapy były znane publiczności. Po którymś zerwaniu George Sand, nie mogąc wdrzeć się do drzwi Alfreda, ucina swoje wspaniałe włosy i posyła mu je. Ale tym razem, mimo romantyzmu gestów, to miłość, prawdziwa miłość, która sięgnęła do samych trzewi kobiety. Daleko jesteśmy od surogatu macierzyństwa, który przeważał w pierwszym okresie stosunku jej z Alfredem. Znamy karty niewydanego *Dziennika* George Sand: „słynne listy zakonnicy portugalskiej są letnie i spokojne w porównaniu do tych stronic, które można zaliczyć między najpłomienniejsze, jakie kiedykolwiek miłość wydarła kobiecie”, pisze o tym *Dzienniku* inna kobieta...<sup>12</sup> Przytoczę parę ustępów:

„Kocham cię całą moją duszą, a ty, ty nie masz dla mnie nawet przyjaźni. Pisałam do ciebie, dziś wieczór; nie odpowiedziałeś. Powiedziano, że wyszedłeś, i nie wstąpiłeś do mnie ani na pięć minut. Wróciłeś tedy bardzo późno i gdzieś byłeś, Boże ty mój? Ach, wszystko skończone, nie kochasz mnie już wcale. Stałabym ci się wstrętna i nienawistna, gdybym została tutaj... Daruj mi, żeś cierpiał przeze mnie; jesteś pomszczony: nie ma na świecie istoty nieszczęśliwszej ode mnie”.

„Gdyby uwiesić się u dzwonka i dzwonić póki mi nie otworzy? Gdyby się położyć w poprzek pod progiem, aż będzie przechodził? Gdyby się rzucić – nie do jego stóp, to byłoby szaleństwo, to by znaczyło błagać go, a wszak z pewnością robi dla mnie, co może, okrucieństwem jest nękać go i żądać niepodobieństwa – ale gdybym mu się rzuciła na szyję, w ramiona, gdybym powiedziała: Kochasz mnie

---

<sup>10</sup> *Piękna Helena* – operetka francuskiego kompozytora Jacques'a Offenbacha (1819–1880). [przypis edytorski]

<sup>11</sup> Jerzy – fr. George. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> pisze o tym *Dzienniku* inna kobieta – Arvède Barine, *Alfred de Musset*. [przypis tłumacza]

jeszcze, cierpisz, rumienisz się, że kochasz, ale nadto litujesz się, aby nie kochać. Widzisz wszak, że cię Kocham, że mogę kochać tylko Ciebie. Uściskaj mnie, nie mów nic, nie spierajmy się; powiedz mi parę słodkich słów, popieść mnie, skoro podobam ci się jeszcze mimo uciętych włosów, mimo dwóch wielkich bruzd, jakie wyżłobiły się od owego dnia na mej twarzy. Więc dobrze! Kiedy uczujesz, że twoja tkliwość się kończy i niechęć wraca, odpędź mnie, zńęczaj się nade mną, ale niech to nie będzie nigdy z tym okropnym słowem: **ostatni raz!** Będę cierpieć, ile zechcesz, ale pozwól mi czasem, choćby tylko raz na tydzień, zejść do Ciebie po łzę, po pocałunek, który by mi wrócił życie i dodał siły”.

„Och! on źle czyni, nieprawdaż? mój Boże, źle czyni, że mnie porzuca teraz, kiedy moja dusza oczyściła się i kiedy pierwszy raz zawładnęła we mnie surowa wola... Ta miłość mogłaby mnie zawieść na koniec świata. Ale nikt jej nie chce; płomień zgaśnie niby bezużyteczne całopalenie. Nikt nie chce!... Och! nie, nie można kochać dwóch mężczyzn naraz. Mnie się to zdarzyło. Zdarzyło się, ale nie zdarzy się już więcej”.

„Czyż ja nie pokutuję za szaleństwa i błędy jakie popełniam? Czyż lekcje nie idą na pożytek kobietom takim jak ja? Czyż nie mam trzydziestu lat? Czy nie jestem w pełni sił? Tak, wielki Boże, czuję to, mogę być jeszcze radością i dumą mężczyzny, jeśli ten mężczyzna zechce mi szczerze pomóc. Potrzebuję krzepkiego ramienia, aby mnie wsparło, serca wolnego od próżności, iżby mnie przygarnęło i zachowało. Gdybym była znalazła takiego człowieka, nie byłabym, gdzie jestem. Ale tacy ludzie to są sękaty dęby, szorstkość ich kory odpycha. A ty poeto, piękny kwiecie, ach, chciałam pić twoją rosę. Upoiła mnie, zatrzymała i w godzinie gniewu sięgnęłam po inną truciznę, która mnie dobiła. Byłeś zbyt słodki i zbyt subtelny, drogi mój zapachu, abyś mógł nie ulotnić się, ilekroć wargi moje Cię wdychały. Urocze krzewy Indyj i Chin gną się na wątlej łądździe i chylą się przy lada wietrze. Nie z nich to ciosa się belki, aby budować dom!”

„Och, te listy, których już nie mam, które tak całowałam, tak zlewałam łzami, tak cisnęłam do nagiego serca, kiedy tamten (Pagello) nie widział!”

„Tak, to nawrót twojej miłości w Wenecji stał się przyczyną mej rozpaczki i mojej zbrodni. Czy mogłam ci wyznać? Nie byłbyś już ścierpiał mej opieki, umarłbyś z wściekłości, poddając się jej. I cóż byś począł beze mnie, mój biedny umierający gołębiu? Och, Boże! ni razu nie mogłam pomyśleć o tym, co wycierpiałeś przez tę chorobę i przeze mnie, iżby pierś moja nie łamała się łkaniem. Oszukiwałam Cię, byłam między dwoma mężczyznami, z których jeden mówił: »Wróć do mnie, naprawię wszystkie winy, będę Cię kochał, umrę bez Ciebie!«, drugi zaś szeptał mi cicho w drugie ucho: »Strzeż się, jesteś moją, nie ma już powrotu. Kłam, Bóg tak chce. Bóg ci odpuści.« – Ach, biedna kobieto, biedna kobieto, wówczas to trzeba było umrzeć”.

„O, moje błękitne oczy, nie patrzcie już na mnie! Ty piękna głowo, już nie ujrzę, jak się pochylasz nade mną i przesłaniasz słodkim omdleniem. Moje ty ciało, tak gibkie i ciepłe, nie położysz się już na mnie, jak Elizeusz na martwym dziecięciu, aby mnie ożywić. Nie dotkniesz mi już ręki, jak Jezus córki Jaira, mówiąc: »Dzieweczko, wstań«. Żegnajcie włoski blond, żegnajcie białe ramionka, żegnaj wszystko com kochała, wszystko co było moje. Będę ścisła teraz, w czas moich płomiennych nocy, pnie sosen i skały w lasach, krzycząc twoje imię, kiedy zaś wymarzę sobie rozkosz, padnę zemdlona na wilgotną ziemię”.

„Jakież żary wszczepiliście w szpik moich kości, wy duchy pomsty bożej? Cóż uczyniłam aniołom niebieskim, iż zstępują na mnie, tchnąc we mnie za karę

miłość lwicy? Czemu krew moja zmieniła się w ogień i czemu w chwili, gdy mam umrzeć, poznałam uściski gorętsze niż uściski ludzi? Jakież szłaś cię ogarnął, ty który popychasz mnie nogą do trumny, podczas gdy usta twoje syca się mięszem mego ciała? Chcesz tedy, abym się zabiła? Bronisz mi tego, ale cóż stanie się ze mną z dala od ciebie, jeżeli ten płomień będzie mnie nadal trawił? Skoro nie mija jedna noc, iżbym nic krzyczała za tobą i nie tarzała się po łóżku, cóż pocznę, skoro stracę cię na zawsze? Czy wyschnę i zblednę jak zakonnica pożerana żądzą? Czy oszaleję i będę budzić mieszkańców domu swoim wyciem? Och! ty chcesz, abym się zabiła!”

George Sand pierwsza ocknęła się z **transu**. Może dopomógł jej w tym imperatyw jej talentu. Twórczość Musseta żyła jak salamandra w ogniu namiętności; regularna praca, wysiłek obce były kapryśnej muzie poety. Natomiast dzieło życia George Sand miało popłynąć jak rzeka szerokim, spokojnym łozyskiem. Musiała się wyzwolić. Potajemnie dnia 9 marca 1835 ucieka do Nohant (imię kawałka ziemi, który posiadała George Sand), przechodzi atak wątroby, wraca do zdrowia i – opamiętuje się. Krzepka jej natura, utrzymywana w równowadze pracą, przychodzi do siebie i niebawem wyciąga ręce do nowych uczuć; życie Musseta natomiast, tak człowieka jak artysty, wlecze się od tej pory śmiertelnie podcięte.

Kiedy Musset, wyjechawszy z końcem 1833 ostentacyjnie z Paryża z George Sand, wrócił po kilku miesiącach sam, miasto zawrzało od plotek. Na wszystkie strony komentowano przygodę wenecką i to w duchu mocno niekorzystnym dla przyjaciółki poety. Musset bardzo po rycersku kruszy za nią kopie, gdzie może; wówczas to rodzi się w nim myśl spisania dziejów ich dwojga. Koncepcja przyszłej książki układa się w głowie poety w kształcie zgodnym ze stanem idealnej egzaltacji, w jakim opuścił Wenecję. Dzieli się tym planem z przyjaciółką:

„Zabieram się do napisania powieści. Mam ochotę skreślić naszą historię: zdaje mi się, że to by mnie uleczyło i skrzepiło mi serce. Chciałbym ci zbudować ołtarz, chociażby ze swoich kości, ale zaczekam na twoje wyraźne pozwolenie.

Co do mnie, nie umrę, dopóki nie napiszę mojej książki o sobie i o tobie (zwłaszcza o tobie); nie, moja piękna, moja święta oblubienico, nie spoczniesz w tej chłodnej ziemi, iżby ta ziemia nie dowiedziała się, kogo nosiła. Nie, nie, przysięgam na mą młodość i mój geniusz, na twoim grobie wejdą jedynie lilie bez zmazy. Tymi oto rękami wzniosę na nim nagrobek z marmuru czystszy niż posągi naszych jednodniowych chwał. Potomność będzie powtarzać nasze imiona jak imiona owych nieśmiertelnych kochanków, którzy we dwoje mają już tylko jedno miano, jak Romeo i Julia, jak Heloiza i Abelard... Będzie to małżeństwo świętsze niż to, które kojarzą księża; niezniszczalne i czyste małżeństwo ducha”.

Książka ta, to była *Spowiedź dziecięcia wieku*; w niej to postanowił poeta wznieść kochance pomnik wobec potomności. Był to okres, w którym wszystkie występki widział po swojej stronie; on był zbrodniarzem, ona aniołem dobroci, czystości, poświęcenia. Odmalował ją pod postacią Brygidy Pierson, zacierając zresztą zupełnie podobieństwo zewnętrznych rysów oraz tło wydarzeń; on sam jako Oktaw wypowiadał się z własnych przewin i słabości. Pagello przedzierzgnął się również we wzór wszelakiej cnoty: w kryształowego Smitha. Ta chęć oddania **prawdy** przy równoczesnym przekształceniu jej pewnych rysów nie zawsze wychodzi książce na korzyść; obok kart tętniących życiem znajdują się inne, wręcz blade; czasem opowiadanie łamie się w niekonsekwencjach lub banalności wyrojonych szczegółów. Tak np. końcowy epizod z filiżanką herbaty, noszący wyraźne cechy autentyczności i zrozumiały pod gorącym niebem Włoch, tutaj w stosunku anielskiej Brygidy do limfatycznego Smitha, „detonuje” wręcz komicznie. I sama Brygida gubi się nam w ciągu opowiadania: trudno nam rozpoznać początkową **miłosierniczkę** z części trzeciej w klasycznej miłośnicy części dalszych. Rola „czarnego charakteru”, Merkanson, ujęta dziwnie niezaradnie i w

gruncie dość zbyteczna, razi swoim „wolterianizmem”, z którym Mussetowi tak bardzo jest nie do twarzy!

Jednakże biorąc tę książkę pod kątem owego „pomnika” dla kochanki, znajdziemy na tym pomniku i poważniejsze pęknięcia. Poznanie Oktawa z Brygidą Pierson poprzedzone jest inną przygodą miłosną bohatera; przygodą, w której ten, oddawszy z całą ufnością swe młodzieńcze serce, spotyka się ze strony niegodnej kobiety z czarną zdradą. Otóż komentatorowie omawiający *Spowiedź dziecięcia wieku* nie dość może, moim zdaniem, zwrócili uwagę na to, ile ta pierwsza część zawiera **realnych** szczegółów wiążących postać tej **pierwszej** kobiety z George Sand. Idealną Brygidę wyposażył poeta w rysy raczej konwencjonalne; ta jasnowłosa osóbką, pieszcząca się z kózką i wędrująca po okolicy, szukając chorych do pielęgnowania, niewiele ma wspólnego z autorką *Lelii*; tamtej natomiast **pierwszej**, owemu złemu duchowi swego życia, dał poeta niewątpliwie prawdziwe rysy kochanki: ten „kark, gładki i pachnący, na którym splatają się dwa lśniące czarne warkocze” – to ona; ta piosenka włoska, którą zwykła była nucić, to, jestem pewien, piosenka wyjęta z własnych ust George Sand. Mam uczucie, że cały epizod z obróceniem głowy i słowami „Czy to ty?” oraz brutalny wybuch Oktawa, że owa nocna scena, w której Oktaw grozi kochance nożem, a może i sama scena z początku trzeciego rozdziału, że to są również echa przeżyć weneckich!... To, że równocześnie wplatają się tu i wspomnienia innych młodzieńczych doświadczeń poety, to w niczym rzeczy nie zmienia.

Tak więc, świadomie czy nieświadomie, Musset prowadzi w tej książce podwójną grę; bije na pamiątkę swej męki medal o podwójnej fizjonomii; równocześnie apoteozuje swą kochankę i piętnuje ją dotkliwie. I czyż właśnie ta dwoistość nie jest bardzo ludzka? czyż nie wyraża wiernie nastrojów uczuciowych poety, który to plwał wzgardą na swoją miłość, to włączył się przed nią na kolanach, kając się za to świętokradztwo? I nie zapominajmy, iż później im bardziej poeta oddala się od tego wspomnienia, tym bardziej w duszy jego rysuje się obraz kochanki nie jako słodkiej Brygidy, ale jako owego czarnookiego demona z pierwszej części *Spowiedzi*.

Szczytowym punktem tego stanu ducha poety jest wspaniała *Noc październikowa* (pisana w 1837), w której – zanim wypowie ostateczne słowo przebaczenia – smaga hańbą wspomnienie kochanki:

Honte à toi qui la première  
M'as appris la trahison,  
Et d'horreur et de colère  
M'as fait perdre la raison!  
Honte à toi, femme à l'oeil sombre,  
Dont les funestes amours  
Ont enseveli dans l'ombre  
Mon printemps et mes beaux jours<sup>13</sup>!

Czyż Oktaw de T\*\*\*, bohater *Spowiedzi dziecięcia wieku*, inaczej mówiłby o swej czarnowłosej zmiennicy?

Starałem się tu przedstawić najciekawsze dokumenty tego zawilego procesu dwojga serc, nie pozwalając sobie na wyrażanie osobistych zapatrywań. Muszę wszelako zaznaczyć, iż im więcej wczytywałem się w akta sprawy, tym bardziej sympatie moje przechylały się na stronę George Sand. Jest w tej pełnej, dojrzałej kobiecie pewien akcent ludzkiej dobroci, szczerości, więcej budzący zaufania niż zacyniona romantyzmem egzaltacja zbyt młodocianego jej partnera. A jeżeli zechcemy

<sup>13</sup> *Honte à toi (...) mes beaux jours* – Hańba tobie, która pierwsza nauczyłaś mnie, co to zdrada, i przyprawiłaś o szaleństwo ze zgrozy i gniewu! Hańba tobie, kobieto o posepnym oku, której złośliwie miłości pogrzebały w mrokach wiosnę mego życia i moje piękne dni. [przypis tłumacza]

uważać, iż ta właśnie ludzkość i dobroć, czasem wykraczająca w swoich przejawach poza ramy utartych wzorków obyczajowych, zapędziła ją w drażliwe nieco życiowe sytuacje, nie zapominajmy, że życie uczuciowe dwojga (a tym bardziej trojga) ludzi nigdy nie jest przeznaczone do publicznych roztrząsań, że zatem cała niedelikatność jest po naszej stronie.

Jako utwór literacki *Spowiedź dziecięcia wieku* jest istotnie – jak mało która książka – dzieckiem swej epoki. To romantyzm dziewięćdziesiątej próby; orgia liryzmu, przelewająca się nieustannie poza brzegi quasi-powieściowej ramy. Maurycy Donnay, w doskonałych swoich prelekcjach o Mussecie, dowcipnie nazwał tę powieść *roman à „je” continu*<sup>14</sup>. Możemy tu studiować geologiczne warstwy romantyzmu: Spowiedź ta wiedzie się w prostej drodze z *Wyznań* Jana Jakuba<sup>15</sup> („ja, który zawsze, mimo wszystko, choćbym nawet popełnił zbrodnie, powtarzałbym sobie, że serce moje jest niewinne (...)” etc.), ale drogę tę skrzyżował już Chateaubriand ze swoim przepychem języka, pompą obrazowania i swoim dumnym znudzeniem. A porównajmy współczesną tej powieści *Pannę de Maupin* Gautiera (1834), a będziemy mieli – przy całej olbrzymiej różnicy temperamentów – dwie odmiany lirycznego **weltschmerzu**<sup>16</sup> i nieraz, ach! lirycznej biegunki słów... Nawet owe arcyromantyczne braki gustu, jakie nieraz nam przychodzi zanotować przy lekturze tej książki, jakże są „stylowe”! Np. część pierwsza: po grzmiącym dytyrambie drugiego rozdziału i jego przepysznym skrócie katastrofy napoleońskiej – rozdział trzeci: spódniczka, serweta, upuszczony widelec... A ta ciągła mieszanina rozlewności religijnej i erotycznej; ten „grób ojca”, ten „Bóg”, któremu, jak w powieściach George Sand, każe się spełniać osobliwe funkcje; ta „dobroczynność”, jakże pocieszna dla nas, dzisiejszych ludzi, przeoranych demokracją, socjalizmem, syndykalizmem, bolszewizmem...; ta „dobroczynność” niby jedwabna sakiewka ze złotymi pomponikami, z której rozdawało się z wdziękiem miedziaki, odbierając w zamian potoki błogosławieństw!

Ale wśród tych stron o nierównej wartości, niecierpliwiących nas nieraz swą pretensjonalnością, „dandyzmem”<sup>17</sup>, swoim arealizmem, ileż znajdziemy takich, które stanowią najcenniejsze perły prozy francuskiej, owej prozy, jaka się rodzi jedynie pod piórem poety czystej wody! I wiele rzeczy może być w tej książce fałszywych, ale zawsze zostanie prawdziwą, szczerą jedna: to serce, szalone serce, które w obłądnie swym chciało, aby każde jego bicie było biciem miłości, ten rozpalony mózg, który chciał, aby każda jego myśl była myślą o miłości. I w całej literaturze francuskiej, w której miłość kobiety odgrywa tak przemożną rolę, nikt może tak zupełnie nie oddał jej wszystkich włókien swej twórczości jak ten poeta, który w jednym ze swoich klejnocików scenicznych powiada:

„Powiedz mi – jeśli istniała kiedy chwila w której wszystko było stworzone – na mocy jakiej siły zaczęły się poruszać te światy, które nie zatrzymają się nigdy?... Przez wieki miłość. Ręka, która je zawiesiła w przestworzu, wypisała tylko jedno słowo niezatartymi głoskami. Żyją, ponieważ dążą do siebie; te słońca rozpadłyby się w pył, gdyby jedno z nich przestało kochać... Tak, całe życie jest w tym, – od Oceanu, który wzdyma się pod bladymi pocałunkami Diany, aż do chrząszczyka, który zazdrośnie usypia w swoim ukochanym kwiecie. Spytaj lasów i kamieni, co by rzekły, gdyby umiały mówić. Mają miłość w sercu i nie umieją jej wyrazić. Kocham cię; oto co wiem, droga moja; oto co powie ci ten kwiat, on, który wybiera w łonie ziemi soki mające mu służyć za pokarm; który usuwa i odtrąca nieczyste składniki zdolne skazić jego krasę! On wie, że trzeba, aby był

<sup>14</sup> *roman à „je” continu* (fr.) – powieść ustawicznego „ja”. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *Jan Jakub* – Jean Jacques Rousseau. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> *weltschmerz* (z niem.) – dosł. ból świata; egzystencjalne cierpienie. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *stron (...) niecierpliwiących (...) „dandyzmem”* – Gdybyśmy nie wiedzieli, że Oktaw de T\*\*\* to sam autor, byłby on jako bohater powieści nie do zniesienia, gdyż Musset zaniedbał mu dać jakiegokolwiek rysy stanowiące rękomię iż próżniactwo, jakie przez cały czas uprawia, jest płodnym próżniactwem poety, a nie jałowym próżniactwem wałkonia [*dandyzm* – wyszukana elegancja zachowania i stroju, granicząca z ekstrawagancją; w XIX w. praktykowana w kołach artystycznych jako sprzeciw wobec mieszczańskiego etosu opartego na pragmatyzmie; Red. WL]. [przypis tłumacza]

piękny w blasku dnia i aby umarł w swojej szacie ślubnej, w obliczu słońca, które go stworzyło”.

Jakoż w tej inwazji problemów miłosnych, jaka zalała literaturę romantyczną i poromantyczną wszystkich krajów, nie najmniejszą z pewnością odpowiedzialność ponosi ów złotowłosy cherubinek, Fantazjo-Musset, o którym można by powiedzieć jak Słowacki o swoim bohaterze:

„...dziwnie ten Fantazjusz żyje,  
Z babami się jak na pałasze bije...”

Boy.

**Kraków**, w czerwcu 1920.

## Część pierwsza

### Rozdział I

Aby napisać historię swego życia, trzeba przede wszystkim żyć; nie moją własną też historię piszę.

Sięgnięty, w młodym wieku jeszcze, okropną chorobą moralną, opowiadam, co mi się zdarzyło w ciągu trzech lat. Gdybym tylko sam jeden był chory, milczałbym: ale ponieważ wielu prócz mnie cierpi na tę samą chorobę, piszę dla nich. Nie wiem nawet, czy zwrócą uwagę na moje słowa; ale gdyby nawet miały się spotkać z zupełną obojętnością i tak zyskałbym tyle, iż uleczyłbym lepiej sam siebie. Jak lis ujęty w pułapkę, odgryzam przyciętą w paści nogę.

## Rozdział II

W czasie wojen Cesarstwa, podczas gdy mężowie i bracia byli w Niemczech, niespokojne matki wydały na świat pokolenie płomienne, blade, nerwowe. Poczęte między dwoma bitwami, wychowane w szkole wśród warczenia bębnow, dzieci spoglądały po sobie wzajem chmurnym okiem, próbując swych wątłych mięśni. Od czasu do czasu zjawiali się zakrwawieni ojcowie, podnosili je do piersi szamerowanych złotem, następnie stawiali na ziemi i siadali z powrotem na koń.

Jeden człowiek żył wówczas w Europie; reszta starała się napełnić płuca powietrzem, które on wydychał. Co roku Francja składała temu człowiekowi w darze trzysta tysięcy młodych ludzi; był to haracz płacony Cesarowi. Gdyby nie miał za sobą tej trzody, nie mógłby biec za swoją fortuną. Była to eskorta, której potrzebował, aby przebyć świat i paść w końcu w małej kotlinie bezludnej wyspy, w cieniu płaczącej wierzby.

Nigdy nie spędzono tylu bezsennych nocy, co za czasu tego człowieka; nigdy nie widziało się takiego tłumu zrozpaczonych matek, wychylających się z szaniców miasta; nigdy nie było takiej ciszy dokoła tych, którzy mówili o śmierci. A mimo to nigdy nie było tyle radości, tyle życia, tyle fanfar wojennych we wszystkich sercach. Nigdy nie wschodziło na niebie czystsze słońce niż to, które osuszało wszystką tę krew. Powiadano, że Bóg zsyła je dla tego człowieka i nazwano je jego słońcem spod Austerlitz. Ale to on sam stwarzał je swoimi wciąż grzmiącymi armatami, po których zostawały chmury jedynie nazajutrz po bitwie.

Tym to powietrzem oddychały wówczas dzieci: atmosferą owego nieba bez plamki, gdzie błyszczało tyle chwały, gdzie lśniło się tyle stali. Wiedziały, że są przeznaczone na hekatombę, ale wierzyły w to, iż Murata nie mają się szable, cesarz zaś przeszedł most, gdzie świstało tyle kul, iż nie wiadano wręcz, czy on może umrzeć. A gdyby nawet trzeba było umrzeć, i cóż? Śmierć była wówczas tak piękna, tak wielka, tak wspaniała w swojej dymiącej purpurze! Tak bardzo podobna była do nadziei, kosiła tak zielone kłose, że stała się jakby czymś młodym i że przestano wierzyć w starość. Wszystkie kolebki Francji stały się puklerzami, wszystkie trumny również; w istocie nie było już starców; były tylko trupy albo półbogi.

Tymczasem nieśmiertelny cesarz znalazł się jednego dnia na pagórku, patrząc, jak siedem narodów wyrzyna się wzajem; podczas gdy jeszcze nie wiedział, czy będzie panem świata czy tylko jego połowy, Azrael przeszedł mu drogę, musnął go końcem skrzydła i pchnął w ocean. Na odgłos jego upadku, konające mocarstwa podniosły się na łóżach boleści; wysuwając haczykowate łapy, królewskie pająki rozdrapały Europę i z purpury Cezara uczyniły sobie strój Arlekina.

Tak samo jak podróżnik, dopóki jest w drodze, spieszy dniem i nocą po deszczu i słońcu, zaledwie świadom bezsenności i niebezpieczeństw; ale skoro znajdzie się pośród rodziny i usiądzie przy kominku, odczuwa bezgraniczne znużenie i z trudem może dowiec się do łóżka; tak Francja, owdowiała po Cezarze, uczuła nagle swą ranę. Popadła w niemoc i zasnęła tak głębokim snem, iż starzy jej królowie, uważając ją za umarłą, spowili ją w biały całun. Stara osiwiła armia wróciła do domu wyczerpana znużeniem i ogniska opustoszałych zamków zapłonęły smutnymi ogniami.

Wówczas ci woje cesarscy, którzy tyle się nagonili i tyle namordowali, uścisnęły wychudłe żony i wspomnieli dawną miłość; przejrżeli się w strumieniu płynącym przez rodzinne łąki i spostrzegli, iż są tak starzy, tak zmarnowani, iż przypomnieli sobie o synach, aby mieć kogoś, kto by im zamknął powieki. Zapytali o nich; chłopcy wyszli z murów kolegium i nie widząc już ani szabel, ani pancerzy, ani piechurów, ani jeźdźców, spytali z kolei, gdzie są ojcowie. Odpowiedziano im, że wojna skończona, że Cezar nie żyje i że portrety Wellingtona<sup>18</sup> i Blüchera<sup>19</sup> wiszą w przedpokojach konsulatów i ambasad z podpisem: *Salvatoribus mundi*<sup>20</sup>.

---

<sup>18</sup> Wellington właśc. Arthur Wellesley (1769–1852) – dowódca wojsk brytyjskich, przedstawiciel Wielkiej Brytanii na kongresie wiedeńskim; przywódca zachowawczego stronnictwa torysów w brytyjskim parlamencie; premier 1828–1830; tytuł księcia Wellington

W chmurnej zadumie usiadła młodzież na ruinach świata. Wszystkie te dzieci, to były krople palącej krwi, którą spłynęła ziemia; urodziły się w łonie wojny, dla wojny. Marzyły przez piętnaście lat o śniegach Moskwy i słońcu Piramid. Chłopcy ci nie opuścili swego miasta; ale powiedziano im, że każdą rogatką tego miasta idzie się do którejś ze stolic Europy. Mieli w głowie cały świat; spoglądali na ziemię, na niebo, na ulice i drogi; wszystko było puste, jedynie dzwony parafialnego kościoła odzywały się w dali.

Blade widma okryte czarnymi szatami przechodziły wolno przez sioła; inne pukały do drzwi domostw i, skoro im otwarto, wydobywały z kieszeni wielkie, zużyte do szczytu pergaminy, mocą których wypędzały mieszkańców. Ze wszystkich stron przybywali ludzie jeszcze cali drżący od strachu, jaki ich chwycił przy ucieczce dwadzieścia lat temu. Wszyscy dopominali się czegoś, kłócili się i krzyczeli; dziw był, iż jedna śmierć mogła ściągnąć tyle kruków.

Król Francji zasiadał na tronie, zaglądając to tu, to tam, czy nie dojrzy jakiej pszczoły<sup>21</sup> w swoich dywanach. Jedni podsuwali mu kapelusze i rzucał weń pieniądze; drudzy ukazywali mu krucyfiksy i całował go; inni krzyczeli mu jeno w ucho wielkie brzmiące nazwiska, tym odpowiadał, aby przeszli do wielkiej komnaty, że tam jest dźwięczne echo; inni wreszcie pokazywali mu, jak skrzętnie zatarli pszczoły na swych starych płaszczach, i tym dawał nową odzież.

Dzieci patrzyły na to wszystko, myśląc ciągle, iż cień Cezara wylądował w Cannes i zdmuchnie te widma; ale cisza trwała ciągle, na niebie zaś widniał jeno odbłask bladych lilii. Kiedy chłopcy mówili o sławie, powiadano im: „Zostańcie księżmi”; kiedy mówili o ambicji: „Zostańcie księżmi”; o nadziei, miłości, sile, życiu: „Zostańcie księżmi!”.

Tymczasem wstąpił na krasomówczą trybunę człowiek, który trzymał w dłoni pakt między królem a narodem; zaczął od oświadczenia, iż sława to ładna rzecz i ambicja wojenna również; ale że istnieje rzecz ładniejsza, a nazywa się wolność.

Dzieci podniosły głowę i przypomniały sobie dziadków, którzy też mówili o wolności. Przypomniały sobie, iż widywały w jakimś zakątku rodzicielskiego domu tajemnicze biusty<sup>22</sup> z długimi włosami z marmuru i rzymskim napisem; przypomniały sobie, jak wieczorem, wśród gawędy przy kominku, babki potrząsały głową i mówiły o strumieniu krwi jeszcze o wiele strasliwszym niż za cesarza. Było dla nich w tym słowie **wolność** coś, co przyprawiało ich o bicie serca, zarazem jak odległe i straszne wspomnienia, i jak jeszcze bardziej odległa droga nadzieja.

Zadrżeli, słysząc to słowo; ale, wracając do domu, ujrżeli trzy zakratowane wozy ciągnące do Clamart: byli to trzech młodzi ludzie, którzy wymówili zbyt głośno słowo **wolność**.

Osobliwy uśmiech przemknął im po wargach na ten smutny widok: ale inni mówcy zaczęli obliczać publicznie z trybuny, co kosztuje ambicja oraz że sława jest to rzecz bardzo droga; ukazali okropność wojny i nazwali hekatombę jatkami. Mówili tyle i tak długo, iż wszystkie złudzenia ludzkie, niby drzewa w jesieni, opadały liść po liściu dokoła nich, słuchacze zaś przeciągali ręką po czole niby człowiek, który się budzi z gorączki.

Jedni mówili: „Przyczyną upadku cesarza było to, że lud go już nie chciał”; drudzy: „Lud chciał króla; nie wolności; nie rozumu; nie religii; nie konstytucji angielskiej; nie absolutyzmu”; ostatni dodał: „Nie, niczego zgoła, tylko spoczynku”.

Między trzy żywioły dzieliło się tedy życie, które nastęrczało się wówczas młodym ludziom: poza nimi przeszłość na zawsze zniweczona, szamocąca się jeszcze na własnych gruzach, wraz z

---

otrzymał za zwycięstwa nad armią napoleońską odniesione w Hiszpanii i Portugalii, a przede wszystkim pod Waterloo, gdzie Napoleon I poniósł ostateczną klęskę. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *Blücher, Gebhard Leberecht von* (1742–1819) – feldmarszałek, dowódca armii pruskiej w czasie wojen napoleońskich, m.in. pod Lipskiem i Waterloo. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *salvatoribus mundi* (łac.) – zbawcom świata. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *pszczoła* – tu: rozpoznawalny element heraldyki wprowadzonej przez Napoleona I w 1808 r.; nowy herb Francji w miejsce królewskich złotych lilii na niebieskim tle miał złote pszczoły na tle czerwonym; taki płaszcz okalał złotego cesarskiego orła trzymającego w szponach błyskawicę. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *biust* (daw.) – popiersie; forma rzeźby. [przypis edytorski]

wszystkimi wykopaliskami wieków absolutyzmu; przed nimi świt olbrzymiego widnokregu, pierwsze brzaski przyszłości; i między tymi dwoma światami... coś podobnego do oceanu, który dzieli stary łąd od młodej Ameryki, coś dziwnie niepewnego i mglistego, morze rozkołysane i pełne szczątków, przerywane od czasu do czasu jakimś białym, odległym żaglem lub okrętem zionącym ciężkimi kłębami pary; obecny wiek, jednym słowem, który dzieli przeszłość od przyszłości, który nie jest jednym ani drugim, a podobny jest do obu naraz, w którym, stawiając krok, nie wiadomo nigdy, czy się depce po nasieniu czy po zgliszczach.

Oto w jakim chaosie trzeba było wówczas wybierać; oto co cię nastęczało dzieciom pełnym siły i męstwa, synom Cesarstwa a wnukom Rewolucji.

Owóz, przeszłości już nie chcieli, wiary bowiem nie da się wmówić; przyszłość kochali, ale cóż! tak jak Pigmalion Galateę: była dla nich niby kochanką z marmuru, czekali, aby ożywiła się, aby krew ubarwiła jej żyły.

Zostawała im tedy obecność, duch czasu, anioł zmierzchu będącego ni to dniem ni nocą; siedział na worku z wapnem pełnym kości, zatulony w płaszcz samolubstwa, drżący od strasznego zimna. Lęk śmierci wniknął im w duszę na widok tego upiora, półmumii półfetusa; zbliżyli się doń tak, jak podróżny, któremu pokazują w Strassburgu córkę starego hrabiego de Sarvenden zabalsamowaną w stroju narzeczonej: ten dziecięcy szkielet przyprawia o dreszcz, na wątłych bowiem i sinych rączkach błyszczą pierścienie oblubienicy, głowa zaś rozpada się w proch w obramieniu pomarańczowego kwiatu.

Podobnie jak za zbliżeniem się burzy przebiega przez lasy straszliwy wiatr, od którego drżą wszystkie drzewa, po czym następuje głęboka cisza, tak Napoleon wstrząsnął wszystkim, przechodząc przez świat; królowie uczuli, jak się chwieją ich korony, i podnosząc rękę ku głowie, zmacali jedynie włosy jeżące się ze strachu. Papież przebył trzysta mil, aby go pobłogosławić w imię boże i włożyć mu diadem; ale Napoleon wziął mu go z rąk. Tak wszystko zadrżało w posępnym lesie starej Europy; po czym zaległa cisza.

Powiadają, iż gdy kto spotka wściekłego psa, jeśli ma odwagę iść z wolna, nie odwracając się, regularnym krokiem, pies podąży jeno jakiś czas za śmiałkiem warcząc; natomiast jeśli się ujawni gest przerażenia, uczyni jeden szybszy ruch, rzuca się na człowieka i pożera go; skoro bowiem zada pierwsze ukąszenie, nie ma już sposobu mu się wymknąć.

Otóż w historii Europy zdarzało się często, iż panujący uczynił ten gest lęku i że lud go pożarł; ale zdarzało się to jednemu, nie wszystkim równocześnie; to znaczy, zniknął król, ale nie majestat królewski. Wobec Napoleona majestat królewski uczynił ów śmiertelny gest; i nie tylko majestat, ale religia, ale szlachectwo, ale wszelka władza boska i ludzka.

Ze śmiercią Napoleona, władze boskie i ludzkie zmartwychwstały faktycznie, ale wiara w nie przestała istnieć. Jest straszliwe niebezpieczeństwo w świadomości tego co możliwe, duch bowiem wciąż idzie dalej. Inna rzecz powiedzieć sobie: „To mogłoby być”, a powiedzieć: „To było”; to pierwsze ukąszenie psa.

Napoleon-despota był ostatnim błyskiem lampy despotyzmu: zniweczył i sparodiował królów jak Wolter Pismo św. Po nim rozległ się straszliwy hałas: to kamień św. Heleny runął na stary świat. Natychmiast pojawiła się na niebie lodowata gwiazda rozsądku, a promienie jej, podobne promieniom chłodnej bogini nocy, lejąc światło bez ciepła spowiły świat sinym całunem.

Widywano, aż dotąd, ludzi którzy nienawidzili szlachty, grzmieli przeciw księżom, spiskowali przeciw królom; nakrzyczano się dość przeciw nadużyciom i przywilejom; ale wielką nowością było patrzeć, jak lud się z nich uśmiecha. Kiedy przechodził szlachcic albo ksiądz, albo monarcha, ten i ów chłop, który bywał na wojnie, potrząsał głową i mówił: „He he! widywaliśmy tego kompana; inną miał minę wówczas!” A kiedy im było mówić o tronie i ołtarzu, odpowiadali: „Toć to cztery tarcice drzewa; składaliśmy je i rozkładaliśmy”. A kiedy im mówiono: „Ludu, ocknąłeś się z błędów i zaślepienia; wezwałeś z powrotem swoich królów i kapłanów”, odpowiadali: „To nie my, to te tam gaduły”. A kiedy im mówiono: „Ludu, zapomnij przeszłości, uprawiaj rolę i słuchaj”, przeżyli się na

siedzisku, i słycać było głuchy szczęk. To zardzewiała i wyszczerbiona szabla poruszyła się w kącie izby. Za czym dodawano natychmiast: „Zostań bodaj w spokoju; skoro tobie nie czynią krzywdy, staraj się nie czynić krzywdy drugim”. Niestety! zadowalali się tym.

Ale młodzież się nie zadowalała. Faktem jest, iż istnieją w człowieku dwie tajemne potęgi, które walczą z sobą aż do śmierci: jedna, jasnowidząca i zimna, chwyta się rzeczywistości, oblicza ją, waży i sądzi przeszłość; druga ma pragnienie przyszłości i pręży się ku nieznanemu. Kiedy namiętność ponosi człowieka, rozsądek podąża za nim płacząc i ostrzegając o niebezpieczeństwie; ale skoro człowiek zatrzyma się na głos rozsądku, skoro sobie powie: „To prawda; jestem szalony; gdzieżem ja pędził?” – namiętność krzyczy doń: „A ja, mąż umrzeć?”

Uczucie niewysłowionej młodości zaczęło tedy fermentować we wszystkich młodych sercach. Skazani przez panów świata na bezwład, wydani na łup wszelakiego rodzaju bakalarzy, na pastwę bezczynności i nudy, młodzi ludzie patrzyli, jak umykają się im spienione fale przeciw którym gotowali ramiona. Wszyscy ci namaszczeni oliwą gladiatorzy czuli w głębi ducha nieznośną czczość. Bogatsi rzucali się w hulankę; średnio majątni obierali zawód podejmując z rezygnacją bilet lub szpadę; najbiedniejsi rzucali się w entuzjazm na zimno, w wielkie słowa, w okropne morze czynności bez celu. Ponieważ słabość ludzka szuka stowarzyszenia się i ponieważ człowiek jest z natury trzodą, weszła w grę polityka. Młodzież biegła bić się na stopniach izby prawodawczej, biegła na widowisko, gdzie Talma za pomocą peruki upodobniał się do Cezara, tłoczyła się na pogrzebie posła z lewicy. Ale wśród członków dwu przeciwnych stronnictw nie było ani jednego, który by, wracając do domu, nie czuł gorzko pustki istnienia i nędzy swoich rąk.

Podczas gdy życie zewnętrzne było tak mizerne i blade, wewnętrzne życie społeczeństwa przybierało wygląd posępny i milczący; w obyczajach panowała najsurowsza obłuda; angielskie poglądy skojarzone z dewocją wyгнаły nawet wesołość. Może Opatrzność to przygotowywała już nowe drogi; być może, anioł-zwiastun przyszłych społeczeństw siał już w sercu kobiet nasiona ludzkiej niepodległości, o którą kiedyś się upomną. Ale faktem jest, iż nagle – rzecz niesłychana! – we wszystkich salonach paryskich mężczyźni skupili się po jednej stronie a kobiety po drugiej; i tak, jedne ubrane biało jak młode oblubienice, drudzy czarno jak sieroty, zaczęli się wzajem mierzyć oczami.

Nie łudźmy się; ten czarny strój, jaki noszą mężczyźni w naszej epoce jest straszliwym symbolem; aby dojść do niego, musiały zbroje opaść sztuka po sztuce, a hafty kwiat po kwiecie. To rozum ludzki obalił wszystkie złudzenia; ale sam nosi po nich żałobę, iżby go pocieszano.

Obyczaj studentów i artystów, ten obyczaj tak swobodny, tak ładny, tak pełen młodości, również odczuł tę powszechną zmianę. Mężczyźni, oddalając się od kobiet, szepnęli słowo, które rani śmiertelnie: wzgarda. Rzucili się w wino i ladacznice. Studenci i artyści uczynili toż samo; miłość doznała podobnego losu, co sława i religia; okazała się przestarzałym złudzeniem. Zapęłniły się domy rozpusty; **gryzetka**<sup>23</sup>, owa klasa tak marzycielska, tak romantyczna, o sercu tak tkliwym i słodkim, wiedła wzgardzona za ladą sklepową. Była biedna, nie budziła już miłości; zapragnęła sukien i kapeluszy, sprzedała się. O nędzo! młody człowiek, który powinien był ją kochać, którego ona byłaby kochała, ten który prowadził ją niegdyś w lasy Verrières i Romainville, aby tańczyć na trawie i wieczerzać w cieniu drzew; ten który zachodził gwarzyć z nią wieczór pod lampą, w sklepie, podczas długich zimowych wieczorów; ten który dzielił z nią kawałek chleba zwilżony potem swego czoła i swoją szczytną i ubogą miłość, ten sam, ten sam człowiek, porzuciwszy ją, odnajdywał ją w jakiejś noc orgii na dnie lupanaru, bladą, z podkrążonymi oczyma, zgubioną na zawsze, z głodem na wargach i plugastwem w sercu!

Otóż w owym czasie dwaj poeci, najwięksi geniusze wieku po Napoleonie, poświęcili swoje życie temu, aby skupić wszystkie pierwiastki niepokoju i bólu rozprószone po świecie. Goethe,

---

<sup>23</sup> gryzetka (z fr. gris: szary; gisette: tania, szara tkanina ubraniowa) – młoda robotnica, szwaczka, ekspedientka; nazwa od koloru odzieży noszonej z konieczności przez takie osoby. [przypis edytorski]

patriarcha nowej literatury, odmalowawszy w Werterze namiętność wiodącą do samobójstwa, nakreślił w swoim Fauście najbardziej posępną postać ludzką, jaka kiedykolwiek wcieliła w siebie zło i niedolę. Pisma jego zaczynały wówczas przenikać z Niemiec do Francji. Z głębi swojej pracowni, otoczony obrazami i posągami, bogaty, szczęśliwy i spokojny, patrzył z ojcowskim uśmiechem, jak ku nam idzie jego dzieło ciemności. Byron odpowiedział mu krzykiem bólu, od którego zdrząła Grecja i zawiesił Manfreda nad przepaściami, jakby nicość była słowem ohydnej zagadki, którą się spowijał.

Przebaczcie mi, o wielcy poeci, którzy jesteście obecnie garstką popiołów i spoczywacie w ziemi! przebaczcie! wy jesteście półbogi, a ja jestem jeno dzieckiem, które cierpi. Ale pisząc te słowa, niepodobna mi was nie przekląć. Czemuście nie opiewali zapachu kwiatów, głosów natury, miłości, winnej latorośli i słońca, lazuru i piękności? Bez wątpienia znaliście życie i bez wątpienia znaliście cierpienie, i świat walił się dokoła was, i płakaliście na jego ruinach, i rozpaczaliście; i kochanki was zdradziły, i przyjaciele spotwarzyli, i ziomkowie zapoznali<sup>24</sup>; i mieliście pustkę w sercu, śmierć w oczach, i byliście olbrzymami bólu. Ale powiedz mi ty, szlachetny Goethe, czy nie znalazł się już głos pociechy w uroczystym szumie waszych starych niemieckich lasów? Dla ciebie poezja była siostrą wiedzy: czyż one we dwie nie mogły w nieśmiertelnej przyrodzie znaleźć zbawczej rośliny dla serca swego ulubieńca? Ty, który byłeś panteistą, antycznym poetą Grecji, kochankiem świętych kształtów, czy nie mogłeś zamknąć nieco miodu w tych pięknych wazach, które umiałeś sporządzać, ty, któremu wystarczyłoby uśmiechnąć się i pozwolić, aby pszczoły usiadły ci na wargach? A ty, Byronie, czy tam, w pobliżu Rawenny, pod pomarańczowymi gajami Italii, pod pięknym weneckim niebem, blisko twego ukochanego Adriatyku, czy nie miałeś swojej ukochanej? O Boże, ja, który mówię do ciebie i który jestem jedynie wątłym dzieckiem, poznałem może męki, których ty nie wycierpiałeś, a mimo to wierzę w nadzieję, a mimo to błogosławię Bogu.

Skoro duch angielski i niemiecki przesiąknął tak w nasze głowy, nastał niby martwy i milczący wstręt do życia, a potem straszliwe konwulsje. Formułować bowiem idee, znaczy zmieniać saletrę w proch; homerycki zaś mózg wielkiego Goethego wyssał, niby alembik<sup>25</sup>, wszystkie sok z zakazanego owocu. Ci, którzy go nie czytali wówczas, zachowywali się jakoby obojętnie. Biedne istoty! Wybuch porwał ich jak ziarna pyłu w otchłanie powszechnego wątpienia.

Było to jakby zaprzeczenie wszystkich rzeczy na niebie i na ziemi; zaprzeczenie, które można nazwać rozczarowaniem lub, jeśli kto chce, **zrozpaczeniem**: ludzkość pogrążona w letargu zdała się martwą tym, którzy obmacywali jej puls. Tak jak ów żołnierz, którego zapytano niegdyś: „W co wierzysz?” i który pierwszy odpowiedział: „W siebie”; tak samo młodzież francuska, słysząc to pytanie, pierwsza odpowiadała: „W nic”.

Odtąd wytworzyły się dwa obozy: z jednej strony umysły gorące, bolesne, dusze rozlewne i potrzebujące nieskończoności, pochylały głowę płacząc; spowiły się w chorobliwe marzenia: wątłe trzciny na oceanie goryczy. Z drugiej strony ludzie z krwi i ciała stali nieugięci w sferze ziemskiego używania i nie znali innej troski prócz liczenia pieniędzy. Był to jakby jeden szloch i jeden wybuch śmiechu; jeden idący z duszy, drugi z ciała.

Oto co mówiła dusza:

„Biada! biada! religia znika, chmury niebieskie opadają w dżdżu; ani nam już spodziewać się ani czekać, zbrakło nam dwóch kawałków czarnego drzewa złożonych na krzyż, do których moglibyśmy wyciągać ręce. Gwiazda przyszłości zaledwie wschodzi; nie może się wyłonić z widnokregu; tkwi spowita w chmury i niby słońce w zimie tarcza jej jawi się obwiedziona czerwoną obwódką, którą zachowała od roku 93<sup>26</sup>. Nie ma już miłości, nie ma sławy. Jakaż gęsta noc na ziemi! A kiedy przyjdzie dzień, nas już nie będzie”.

<sup>24</sup> *zapoznać kogoś* (daw.) – zapomnieć o kimś. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> *alembik* – destylator; aparat destylacyjny. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> *czerwoną obwódką, którą zachowała od roku 93* – odwołanie do okresu krwawego terroru podczas rewolucji francuskiej, który rozpoczął się w marcu 1793 roku; szczytowe jego nasilenie przypadło na połowę 1794 r.; zgilotynowano wówczas w sumie nawet do 20 tys. ludzi. [przypis edytorski]

Oto co mówiło ciało:

„Człowiek żyje po to, aby używać swoich zmysłów; posiada mniej albo więcej kawałków żółtego lub białego metalu, dzięki czemu ma prawo do mniejszego lub większego szacunku. Jeść, pić i spać, to znaczy żyć. Co się tyczy węzłów, jakie istnieją między ludźmi, przyjaźń zasadza się na pożyczaniu pieniędzy; ale rzadko posiada się przyjaciela, którego by się kochało na tyle. Krewieństwo służy do dziedziczenia; miłość jest ćwiczeniem cielesnym; jedynym użyciem umysłowym jest próżność”.

Podobne azjatyckiej dżumie wznoszącej się z oparów Gangesu, okropne **zwątpienie** stapało wielkimi krokami po ziemi. Już Chateaubriand, księżę poezji, otulając straszliwe bożyszcze swym płaszczem pielgrzymim, umieścił je na marmurowym ołtarzu, pośród woni świętych kadzielnic. Już pełne bezużytecznej obecnie siły dzieci wieku przeżyły beczynne ręce i piły zatruty napój ze swego jałowego pucharu. Wszystko rozpadało się w proch, szakale wyszły już z ziemi. Trupia i cuchnąca literatura, która posiadała tylko formę, ale formę ohydną, zaczęła polewać zgniłą krwią wszystkie monstra przyrody.

Któż odważy się kiedy opowiedzieć, co się działo wówczas w szkołach. Dojrzałe mężczyźni wątpili o wszystkim; młodzi ludzie przeczyli wszystkiemu. Poeci opiewali rozpacz; młodzieńcy wychodzili ze szkół z pogodnym czołem, ze świeżą i rumianą twarzą, i z przekleństwem na ustach. Zresztą charakter francuski, z natury wesoły i otwarty, przeważał, mimo iż mózgi nasiąkły angielskimi i niemieckimi pojęciami; ale serca, zbyt lekkie, aby walczyć i aby cierpieć, wiedły niby podcięte kwiaty. Tak więc zimno i bez wstrząśnień pierwiastek śmierci zstąpił z głowy do trzewiów. Zamiast mieć entuzjazm złego, mieliśmy jedynie obojętność na dobre; zamiast rozpachy nieczułość. Piętnastoletni chłopcy, siedząc niedbale pod ukwieconym krzakiem, toczyli dla zabicia czasu rozmowy, od których zadrżałby od grozy sztywne gaiki Wersalu. Komunia Chrystusowa, hostia, ów wieczny symbol niebiańskiej miłości, służyła do pieczętowania listów; dzieci wypluwały chleb boży.

Szczęśliwi, którzy umknęli się tej epoce! Szczęśliwi, którzy przeszli nad przepaścią, spoglądając w niebo! Byli tacy z pewnością i ci użalą się nad nami.

Prawdą jest, na nieszczęście, iż w bluźnierstwie mieści się wielki upust sił, który przynosi ulgę zbyt wezbranemu sercu. Gdy ateusz, dobywając zegarka, dawał Bogu kwadrans czasu na powalenie go piorunem, nie ulega wątpliwości, iż gotował sobie kwadrans wściekłej i okrutnej rozkoszy. Był to paroksyzm rozpachy, niewymowny apel do wszystkich władz niebieskich; biedne, nędzne stworzenie wijące się pod miażdżącą je stopą; wielki krzyk bólu. I kto wie? w oczach tego, który widzi wszystko, to była może modlitwa.

Młodzi ludzie zużywali zatem beczynną siłę w upajaniu się rozpachą. Drwić ze sławy, z religii, z miłości, ze wszystkiego w świecie, to wielka pociecha dla tych, którzy nie wiedzą, co począc; drwią w ten sposób z samych siebie, i rozgrzeszają się, krytykując. Miło jest wreszcie uważać się za nieszczęśliwego, wówczas gdy się jest tylko pustym i znudzonym. Rozpusta wreszcie, ta najbliższa konkluzja pierwiastków śmierci, jest strasliwym narzędziem, gdy chodzi o szarpanie sobie nerwów!

Tak więc bogaci mówili sobie: „Prawdą jest tylko bogactwo, wszystko inne to majak; używajmy i mrzyjmy”. Średniozamożni mówili: „Prawdą jest tylko zapomnienie; wszystko inne to majak; zapominajmy i mrzyjmy”. Biedni zaś mówili: „Prawdą jest jedynie nieszczęście; wszystko inne to majak; bluźnijmy i mrzyjmy”.

Zbyt czarny obraz? Przesadzony? Jak wam się zdaje? Czy jestem mizantropem? Pozwólcie mi na jedną uwagę.

Czytając dzieje upadku Cesarstwa rzymskiego, niepodobna nie spostrzec szkód, jakie chrześcijanie, tak cudowni na pustyni, zadali Państwu z chwilą, gdy doszli do władzy. „Kiedy myślę, powiada Monteskiusz, o głębokim nieuctwie, w jakim grecki kler zanurzył ludzi świeckich, mimo woli nasuwa mi się porównanie z owymi Scytami, o których mówi Herodot, a którzy wykluwali oczy niewolnikom, iżby nic nie mogło ich rozproszyć i oderwać od ubijania mleka. Żadna

sprawa państwowa, pokój, wojna, rozejm, układy, małżeństwa, nic nie działa się inaczej jak za pośrednictwem mnichów. Nie uwierzyłyby nikt, ile złego stąd wynikło”.

Monteskiusz mógłby dodać: chrystianizm zgubił cesarzów, ale zbawił ludy. Otworzył barbarzyńcom pałace Konstantynopolu, ale otworzył drzwi chatki Chrystusowym aniołom-pocieszycielom. Właśnie tu chodziło o mocarzy świata! cóż nas obchodzą te ostanie rżężenia skażonego aż do szpiku cesarstwa, te posępne skurcze galwaniczne wstrząsające jeszcze szkielet tyranii na grobie Heliogabala i Karakalli! Było w istocie co zachowywać, tę mumię Rzymu zabalsamowaną w olejkach Nerona, spowitą w całun Tyberiusza! Chodziło, panowie politycy, o to, aby iść między biednych i zwiastować im pokój; chodziło o to, aby pozwolić robakom i kretom toczyć pomniki hańby, ale zarazem wydobyć z łona mumi dziewicę równie piękną jak matka Odkupiciela, nadzieję, przyjaciółkę uciśnionych.

Oto co uczynił chrystianizm; a obecnie, od tylu lat, co zrobili ci, którzy go zniweczyli? Widzieli, iż biedny dawał się gnieść bogatemu, słaby silnemu, dzięki temu, iż powiadali sobie: „Bogaty i silny będą mnie gnietli na ziemi; ale kiedy zechcą wejść do rajy, ja znajdę się u bramy i oskarżę ich przed trybunałem Boga”. I tak, niestety! znosili wszystko cierpliwie.

Wrogowie Chrystusa rzekli tedy biedakowi: „Znosisz wszystko cierpliwie aż do dnia sprawiedliwości: nie ma sprawiedliwości; czekasz żywota wiecznego, aby domagać się pomsty: nie ma żywota wiecznego; gromadzisz łzy swoje i swojej rodziny, krzyk dzieci i szlochanie żony, aby je zanieść do stóp Boga w godzinie śmierci: nie ma Boga”.

Wówczas, jasne jest, iż biedny przestał ronić łzy, kazał żonie, aby zmiłkła, dzieciom, aby poszły za nim, i podniósł się z ziemi z bawolą siłą. Bogaczowi rzekł: „Ty, który mnie ciśniesz, jesteś tylko człowiekiem”; a kapłanowi: „Ty, któryś mnie pocieszał, skłamałeś”. Tego właśnie pragnęli wrogowie Chrystusa. Może sądzili, iż spełniają w ten sposób szczęście ludzi, wysyłając biednego na zdobycz wolności.

Ale jeżeli biedny, zrozumiawszy wreszcie jasno, iż księża go oszukują, iż bogacze go okradają, iż wszyscy ludzie mają równe prawa, że wszystkie dobra są z tego świata i że nędza jego jest hańbą; jeżeli biedny, zaufawszy jeno w swe ramiona, rzecze sobie pewnego dnia: „Wojna bogaczom i dla mnie używanie na tym świecie, skoro innego nie ma! dla mnie ziemia, skoro niebo jest puste! dla mnie i dla wszystkich, skoro wszyscy są równi!” – o wzniosli filozofowie, którzyście go przywieźli do tego punktu, co mu powiecie, jeżeli będzie zwyciężony?

Bez wątpienia jesteście filantropami, bez wątpienia macie rację na przyszłość i przyjdzie dzień, w którym będziecie zbierać błogosławieństwa; ale dziś jeszcze, zaiste, nie sposób nam błogosławić was. Gdy niegdyś ciemieżca mówił: „Moją jest ziemia!” – „Moim niebo!” odpowiadał ciemieżony. Obecnie cóż odpowie?

Cała choroba obecnego wieku pochodzi z dwóch przyczyn: lud, który przebył rok [17]93 i 1814, nosi w sercu dwie rany. Wszystko co było, już nie jest; wszystko co będzie, jeszcze nie jest. Nie szukajcie gdzie indziej tajemnicy naszych bólów.

Oto człowiek, którego dom rozpada się; zburzył go, aby zbudować inny. Gruzy leżą na jego polu, on zaś czeka nowych kamieni na nowy gmach. W chwili, gdy gotuje się z kielnią w dłoni, z zawiniętymi rękawami obrabiać ciosy i przyrządzać wapno, powiadają mu że brakło kamieni i radzą otynkować dawne, iżby służyły jeszcze. Cóż ma czynić ów człowiek, który nie chce z gruzów budować gniazda dla swojej gromadki? Łom jest głęboki, narzędzia zbyt słabe, aby zeń dobyć ciosy. „Czekaj, powiadają mu, dobędzie się ich pomału; ufaj, pracuj, idź naprzód, cofaj się wstecz”. Czegóż mu nie prawią? I przez ten czas ów człowiek, nie mając ani starego ani nowego domu, nie wie, jak się ochronić od deszczu, ani jak przygotować wieczorny posiłek, ani gdzie pracować, gdzie spocząć, gdzie żyć, ani gdzie umrzeć; a dzieci jego to niemowlęta.

Albo się bardzo mylę, albo my podobni jesteście do tego człowieka. O, ludy przyszłych wieków! kiedy w gorący letni dzień pochylicie się nad pługiem wśród zieleniejących łąk ojczystych; kiedy pod słońcem czystym i bez plamki ujrzyście ziemię, waszą płodną matkę, uśmiechającą się w

porannej szacie do rolnika, swego ukochanego dziecięcia; kiedy, ocierając na spokojnym czole święty chrzest znoju, będziecie wieść spojrzenie po bezkresnym widnokregu, gdzie ani jedno kłosie w łanie ludzkim nie będzie wyższe od drugiego, jedynie tylko bławatki i rumianki będą się barwić wśród złotego zboża; – o ludzie wolni! kiedy wówczas będziecie dziękować Bogu, iż zrodziliście się do tego żniwa, pomyślcie o nas, których już tam nie będzie, powiedzcie sobie, żeśmy bardzo drogo kupili spokój, którego wy będziecie zażywać; żałujcie nas bardziej niż wszystkich swoich ojców; cierpimy bowiem niejedną z bólów, które ich czyniły godnymi współczucia, a straciliśmy to, co im dawało pociechę.

### Rozdział III

Chcę opowiedzieć, w jaki sposób nawiedziła mnie po raz pierwszy choroba wieku.

Siedziałem przy stole przy sutej wieczerzy po maskaradzie. Dokoła mnie przyjaciele w bogatych kostiumach, pełno młodzieży i kobiet, wszyscy błyszczący urodą i weselem; na stole wyborne potrawy, dzbany, świeczniki, kwiaty, nad głowami huczna orkiestra, naprzeciw zaś moja kochanka, wspaniała istota, którą ubóstwiałem.

Miałem wówczas dziewiętnaście lat; nie przeszedłem żadnego nieszczęścia ani choroby; miałem charakter dumny i otwarty zarazem, serce kipiące nadzieją przyszłości. Opary wina burzyły mi się w żyłach; był to jeden z tych momentów pijaństwa, w których wszystko, co się widzi, co się słyszy, mówi nam o ukochanej. Cała przyroda zdaje się wówczas niby kosztowny migotliwy kamień, na którym wyryte jest tajemnicze imię. Człowiek uściskałby chętnie każdego, kto się uśmiecha, czuje się bratem wszystkiego, co istnieje. Luba naznaczyła mi schadzkę na tę noc, niosłem z wolna kieliszek do ust, patrząc na nią.

Podczas gdy odwracałem się, aby wziąć talerz, spadł mi widelec. Schyliłem się i, nie znajdując go zrazu, podniosłem nieco obrus, aby zobaczyć, gdzie się potoczył. Spostrzegłem wówczas stopę mej kochanki spoczywającą na stopie młodego człowieka obok; nogi ich krzyżowały się zaplatając o siebie, od czasu do czasu zaś zaciskali je lekko.

Podniosłem się zupełnie spokojny, poprosiłem o inny widelec i wieczerzałem dalej. Luba moja i jej sąsiad byli również bardzo spokojni; prawie nie rozmawiali z sobą i nie patrzyli na siebie. Młody człowiek oparł się łokciami o stół i żartował z inną kobietą, która mu pokazywała swój naszyjnik i naramienniki. Kochanka moja siedziała nieruchomo z martwymi i pełnymi omdłości oczyma. Przyglądałem się obojgu przez cały czas biesiady i nie dostrzegłem w ruchach ani w twarzy nic, co by mogło ich zdradzić. Pod koniec, przy deserze, upuściłem serwetę i, schyliwszy się znowu, zastałem ich w tej samej pozycji, ciasno zaplecionych o siebie.

Przyrzekłem lubej, że ją odwiozę tego wieczora do domu. Była wdową i tym samym bardzo swobodną, dzięki staremu krewniakowi, który towarzyszył jej i służył za przyzwoitkę. Kiedy mijałem przedsiónek, zawołała na mnie: „Chodź, Oktawie, rzekła, jedźmy, już jestem gotowa”. Zaśmiałem się, i wyszedłem bez odpowiedzi. Uszedłszy kilka kroków, przysiadłem na kamiennym słupie. Nie wiem, o czym myślałem; niewierność tej kobiety, o którą nigdy nie czułem się zazdrosny i której nie przyszło mi na myśl podejrzewać, wprawiła mnie w stan jakiejś odrętwiałości, zidiocenia. Ponieważ to, co widziałem przed chwilą, nie zostawiało żadnej wątpliwości, byłem jak ogłuszony maczugą; nie pamiętam, co się działo we mnie przez czas spędzony na owym kamieniu; pomnę tylko, iż, patrząc bezmyślnie w niebo i widząc spadającą gwiazdę, pozdrowiłem to ulotne światło, w którym poeci widzą zniweczony świat, i uchyliłem przed nim z powagą kapelusza.

Wróciłem do domu bardzo spokojnie, nie doświadczając niczego, nie czując nic, jakby wyzuty z myśli. Zacząłem się rozbierać i rzuciłem się w łóżko; ale zaledwie przyłożyłem głowę do poduszki, duchy zemsty pochwyliły mnie z taką siłą, iż wsparłem się nagle o ścianę, jak gdyby wszystkie mięśnie mego ciała stały się z drzewa. Wskoczyłem z łóżka krzycząc, z wyciągniętymi ramionami, zdolny stąpać jedynie na piętach, tak ścięgni u kciuków były skurczone. Spędziłem w ten sposób blisko godzinę, zupełnie oszalały i sztywny jak szkielet. Był to pierwszy atak gniewu, jakiego w życiu doznałem.

Człowiek, którego zeszedłem z mą lubą był jednym z moich najbliższych przyjaciół. Udałem się doń nazajutrz w towarzystwie młodego adwokata nazwiskiem Desgenais; wzięliśmy pistolety, drugiego świadka i znaleźliśmy się w lasku Vincennes. Przez całą drogę starałem się nie odzywać do przeciwnika, a nawet nie zbliżać doń z obawy, aby mi nie przyszła chęć uderzyć go i zelżyć: gwałty tego rodzaju są zawsze wstrętne i zbyteczne z chwilą, gdy prawo cierpi prawidłowy pojedynek. Ale nie mogłem się powstrzymać od upartego wlepiania weń oczu. Był to jeden z towarzyszy mego

dzieciństwa; od wielu lat łączyły nas liczne wzajem sobie świadczone usługi. Wiedział doskonale o mej miłości; parę razy nawet dawał mi do zrozumienia, że tego rodzaju węzły święte są dla przyjaciela, i że nie byłby zdolny wchodzić mi w drogę, gdyby nawet kochał tę samą kobietę. Słowem, pokładałem w nim pełne zaufanie i nigdy może nie ścisnąłem serdeczniej ręki ludzkiej istoty.

Przyglądałem się ciekawie, chciwie, temu człowiekowi, który rozprawiał o przyjaźni niby bohater starożytności, a którego zdybałem, jak pieścił mą kochankę. Pierwszy raz w życiu widziałem potwora: mierzyłem go błędnym okiem, aby się przypatrzeć, jak wygląda. Znałem go od dziesiątego roku życia, żyłem z nim dzień po dniu w najdoskonalszej i najbliższej przyjaźni: – i oto miałem wrażenie, że go nigdy nie widziałem. Posłużę się tu porównaniem.

Istnieje znana powszechnie hiszpańska sztuka, w której kamienny posąg, zesłany sprawiedliwością niebios, przychodzi wieczerzać u rozpustnika<sup>27</sup>. Rozpustnik nadrabia miną i sili się na obojętność; ale posąg ujmuje go za rękę, i z chwilą, gdy mu ją podał, nieszczęśnik czuje śmiertelny chłód i popada w konwulsje.

Otóż ilekroć w życiu zdarzyło mi się wierzyć przez dłuższy czas z ufnością przyjacielowi lub kochance i nagle odkryłem, że mnie oszukują, niepodobna mi oddać inaczej wrażenia, jakie to odkrycie na mnie uczyniło, niż porównując je do uścisku dłoni owego posagu. Jest to w istocie niby uścisk zimnego marmuru: jak gdyby rzeczywistość w swoim śmiertelnym chłodzie mroziła mnie pocałunkiem; dotknięcie kamiennego człowieka. Niestety! okropny biesiadnik niejedną raz zapukał do moich drzwi; niejedną raz wieczerzaliśmy społem.

Tymczasem po dopełnieniu przygotowań stanęliśmy obaj u mety, idąc wolno jeden na drugiego. Strzelił pierwszy i skaleczył mnie w prawe ramię. Ująłem natychmiast pistolet drugą ręką, ale nie mogłem go dźwignąć, sił mi brakło, upadłem na kolano.

Przeciwnik mój zbliżył się spieszenie, niespokojny, bardzo blady. Równocześnie nadbiegł świadek, widząc, że jestem ranny; ale on ich usunął i ujął mnie za chorą rękę. Ścisnął zęby, nie mógł mówić; widziałem jego lęk. Cierpiał tak okrutnie, jak tylko człowiek cierpieć może. „Idź precz! – krzyknąłem – idź się wytrzeć w prześcieradła tej...!” Dławił się, ja także.

Wsadzono mnie do powozu, gdzie znalazł się lekarz. Rana okazała się lekka, kula nie tknęła kości; ale byłem w stanie takiego podniecenia, iż niepodobna mi było natychmiast opatryć. W chwili gdy fiakier<sup>28</sup> ruszał, ujrzałem przez okno drżącą rękę: to przeciwnik mój jeszcze raz objawiał chęć pojednania. Wstrząsnąłem głową za całą odpowiedź: byłem tak wściekły, iż na próżno siliłbym się mu przebaczyć, mimo że czułem szczerą jego żalu.

Krew, która spływała obficie z ramienia przyniosła mi znaczną ulgę; osłabienie uśmierzyło mą wściekłość, która dokuczała mi bardziej od rany. Położyłem się z rozkoszą, nigdy chyba nie piłem nic smaczniejszego niż pierwsza szklanka wody, jaką mi podano.

Skoro się znalazłem w łóżku, chwyciła mnie gorączka. Zacząłem płakać. Nie mogłem pojąć nie tego, że kochanka przestała mnie kochać, ale że mnie oszukiwała. Nie rozumiałem, dla jakiej przyczyny kobieta, której nie zmusza ani obowiązek, ani interes, może kłamać mężczyźnie wówczas, gdy kocha innego. Pytałem po dwadzieścia razy przyjaciela mego Desgenais, w jaki sposób to jest możliwe. „Gdybym był jej mężem, mówiłem, albo gdybym jej płacił, rozumiałbym, iż mnie oszukuje; ale dlaczego, jeśli mnie już nie kochała, nie powiedzieć mi tego? dlaczego oszukiwać?” Nie pojmowałem, aby można było kłamać w miłości, byłem wówczas dzieckiem, a wyznaję, iż dziś nie rozumiem tego jeszcze. Za każdym razem, kiedy zakochałem się w kobiecie, powiedziałem jej to; za każdym razem, kiedy przestałem kochać, powiedziałem również, z tą samą szczerością, mniemając zawsze, iż w tego rodzaju sprawach wola nasza jest niczym i że zbrodnia jest tylko kłamstwo.

---

<sup>27</sup> sztuka, w której kamienny posąg (...) przychodzi wieczerzać u rozpustnika – chodzi o sztukę Tirso de Molina z 1630 r. *Zwodziiciel z Sewilli i kamienny gość*; temat opracowany został następnie przez Molière'a, Mozarta (opera *Don Giovanni*) i Byrona. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> fiakier a. fiakr (z fr. *fiacre*) – dorożka; lekki, miejski pojazd konny przeznaczony do wynajmowania do przewozu osób. [przypis edytorski]

Na wszystko, com mówił, Desgenais odpowiadała: „To nędznica; przyrzeknij mi, że już jej nie ujrysz na oczy”. Przysięgłem uroczyście. Poradził mi dalej, abym nie pisał do niej, nawet z wymówkami, w razie zaś gdyby ona pisała, abym nie odpowiadał. Przyrzekłem wszystko, zdziwiony niemal, iż tego żąda i oburzony samym przypuszczeniem.

Tymczasem pierwszą rzeczą, jaką uczyniłem z chwilą, gdy mogłem wstać i opuścić pokój, było pognać do mej kochanki. Zastałem ją samą; siedziała na krześle w kącie pokoju, z przygnębioną twarzą, w nieładzie. Obsypałem ją najgwałtowniejszymi wymówkami, byłem pijany rozpaczą. Krzyczałem tak, iż rozlegało się w całym domu; równocześnie łzy przerywały niekiedy słowa tak gwałtownie, iż padłem na łóżko, aby im dać folgę. „Ha! niewierna! ha! niegodziwa! – mówiłem płacząc – czy wiesz, że ja to życiem przypłacę, czy to ci sprawia przyjemność? co ja ci uczyniłem?”

Rzuciła mi się na szyję, rzekła, że coś ją poniosło, oszołomiło, że rywal mój spoił ją na tej nieszczęsnej wieczerzy, ale że nigdy nie należała do niego; że poddała się chwili zapomnienia; że popełniła błąd, ale nie zbrodnię; widzi dobrze krzywdę, jaką mi uczyniła, ale jeśli jej nie przebaczę, i ona przypłaci to życiem. Wyczerpała wszystkie łzy szczerego żalu, całą wymowę bólu, aby mnie pocieszyć; blada i nieprzytomna, z na wpół rozwartą szatą, z włosami rozsypnymi na ramiona, zdała mi się tak piękną jak nigdy. Drżałem ze zgrozy, podczas gdy wszystkie me zmysły rwały się ku niej.

Wyszedłem złamany, w oczach mi się ćmiło, chwiałem się na nogach. Postanawiałem nigdy jej już nie widzieć, ale po upływie kwadransa wróciłem. Parła mnie jakaś rozpaczliwa siła, czułem jakby jakąś głuchą żądę posiadania jej jeszcze raz; chciałem wypić na jej wspaniałym ciełe wszystkie te gorzkie łzy i potem zabić ją i siebie. Brzydziłem się nią i ubóstwiałem zarazem; czułem, że jej miłość jest mą zgubą, ale że żyć bez niej jest mi niepodobieństwem. Wpadłem jak błyskawica, nie oznajmiając się; wszedłem prosto, znając dom, i pchnąłem drzwi od jej pokoju.

Zastałem ją przed gotownią; siedziała bez ruchu, okryta klejnotami. Pokojówka czesała ją; ona trzymała w ręku kawałek czerwonej krepy, który przeciągała lekko po policzkach. Myślałem, że śnie; zdało mi się niepodobieństwem, aby to była ta sama kobieta, która kwadrans temu w moich oczach tonęła we łzach i wlokła się po podłodze. Stałem jak posąg. Ona słysząc, iż drzwi się otwierają, zwróciła głowę z uśmiechem. „Czy to ty?” rzekła. Szła na bal i czekała na mego rywala, który miał jej towarzyszyć.

Cofnąłem się ku drzwiom. Patrzałem na jej kark, gładki i pachnący, nad którym w związanych włosach połyskiwał diamentowy grzebień; ten kark, siedziba siły życiowej, czarniejszy był od piekła; na nim spletały się dwa lśniące warkocze, nad którymi kołysało się srebrne kłosie. Obfity i gęsty puszek odbijał od ramion i od bielszych niż mleko pleców. Było w tej podwiniętej grzywie coś bezwstydnie pięknego; coś co zdawało się urągać mi za bezład, w jakim widziałem ją chwilę przedtem. Podbiegłem i uderzyłem w ten kark grzbietem zaciśniętej pięści. Nie wydała krzyku, padła na ręce, ja zaś wyszedłem śpiesznie.

Za powrotem do domu gorączka pochwyciła mnie znów z taką siłą, iż byłem zmuszony się położyć. Rana otwarła się, cierpiałem bardzo. Zaszedł do mnie Desgenais, opowiedziałem mu wszystko, co zaszło. Wysłuchał mnie w skupieniu, po czym przechadzał się jakiś czas po pokoju jak człowiek, który się waha. Wreszcie zatrzymał się przede mną i parsknął śmiechem.

– Czy to twoja pierwsza kochanka? – rzekł.

– Nie – odparłem – ostatnia.

Około północy, podczas gdy spałem niespokojnym snem, zdało mi się, iż słyszę głębokie westchnienie. Otwarłem oczy i ujrzałem mą lubą, stojącą koło łóżka, ze skrzyżowanymi ramionami, podobną do widma. Nie mogłem wstrzymać okrzyku przerażenia, biorąc to za zjawę mego chorego mózgu. Wskoczyłem z łóżka i uciekłem w kąt pokoju; podeszła bliżej.

– To ja – rzekła i ujmując mnie w pól, przyciągnęła mnie.

– Czego chcesz? – krzyknąłem – puść mnie! byłbym zdolny zabić cię w tej chwili!

– Więc zabij! – rzekła. – Zdradziłam cię, skłamałam, jestem podła, niegodziwa, ale Kocham cię i nie mogę żyć bez ciebie.

Spojrzałem na nią; jakaż była piękna! Całe jej ciało drżało; oczy, zamglone żądzą, sączyły strumienie rozkoszy; pierś lśniła naga, wargi płonęły. Wziąłem ją w ramiona.

– Dobrze więc – rzekłem – ale, w obliczu Boga, który nas widzi, na duszę ojca, przysięgam, że cię zabiję w tej chwili, i siebie także.

Wziąłem nóż, który leżał na kominku i wsunąłem go pod poduszkę.

– Oktawie, no – rzekła z uśmiechem, tuląc mnie – nie rób szaleństw. Chodź, dziecko, szkodzisz sobie tym wszystkim, masz gorączkę. Daj mi ten nóż.

Próbowała mi go odebrać.

– Słuchaj – rzekłem – nie wiem, kto jesteś i co za komedię odgrywasz, ale, co do mnie, ja nic nie gram. Kochałem cię tyle, ile człowiek może kochać na ziemi; i, na moje nieszczęście i zgubę, wiedz, iż jeszcze kocham cię do szaleństwa. Mówisz, że i ty mnie kochasz; chcę wierzyć; ale, na wszystko co jest świętego na ziemi, jeśli ja będę twoim kochankiem dziś wieczór, inny nie będzie nim jutro. Klnę się na Boga, klnę się na Boga – powtarzałem – nie wezmę cię, nienawidzę cię bowiem tyle, ile kocham.

To mówiąc, padłem na łóżko zupełnie nieprzytomny. Narzuciła płaszcz na ramiona i wybiegła.

Skoro Desgenais wysłuchał tej przygody, rzekł:

– Dlaczegoś ją odtrącił? bardzoś wybredny; to śliczna kobieta.

– Żartujesz? – odparłem. – Sądziś iż podobna kobieta może być moją kochanką? że zgodzę się kiedykolwiek na podział? Pomyśl, ona sama wyznaje, że inny ją posiada, i ty chcesz, bym zapomniał, że ją kocham, aby ją posiadać również? Jeśli tak pojmujesz miłość, lituję się nad tobą.

Desgenais odparł, iż lubi jedynie łatwe dziewczęta i nie wgląda w rzeczy tak ściśle.

– Drogi Oktawie – rzekł – jesteś bardzo młody; chciałbyś wielu rzeczy, i ładnych rzeczy, ale które nie istnieją. Wierzysz w osobliwy gatunek miłości; może jesteś do niej zdolny; wierzę w to, ale ci nie życzę. Poznasz inne kobiety, mój przyjacielu, i pożałujesz kiedyś tego, co ci się zdarzyło tej nocy. Kiedy ta kobieta przyszła tu do ciebie, to pewna, iż cię kochała; nie kocha cię może w tej chwili, jest może w objęciach innego; ale kochała cię owej nocy, w tym pokoju; i cóż ci o resztę? Mogłeś mieć oto ładną noc i pożałujesz jej, bądź pewny, już bowiem nie wróci. Kobieta przebacza wszystko, wyjąwszy to, że jej ktoś nie chce. Musiała cię straszliwie kochać, skoro przyszła tutaj czując się winną i przyznając się do winy, domyślając się może, iż ją odepchniesz. Wierz mi, pożałujesz tej nocy, ja ci bowiem powiadam, że nie będziesz już miał takiej.

Desgenais mówił to wszystko tonem tak prostego i głębokiego przekonania, z tak rozpaczliwym spokojem doświadczenia, iż, słuchając go, zadrżałem. Doznawałem gwałtownej pokusy, aby iść jeszcze raz do mej kochanki lub też napisać do niej, aby przyszła. Byłem niezdolny wstać, to mnie ocaliło od wstydu narażenia się jeszcze raz na to, iż zastanę ją czekającą na mego rywala albo też gruchającą z nim sam na sam. Ale mogłem napisać: mimo woli zadawałem sobie pytanie, czy, w razie gdybym napisał, czy by przyszła.

Skoro Desgenais odszedł, ogarnął mnie tak nieznośny zamęt, iż postanowiłem położyć mu kres w jakikolwiek sposób. Po straszliwej walce wstręt przeważył wreszcie miłość. Napisałem do niej, iż nie chcę jej widzieć na oczy i proszę, aby nie przychodziła, jeśli nie chce znaleźć drzwi zamkniętych. Zadzwoń mi gwałtownie i kazałem odnieść list jak najspieszniej. Ledwie służący opuścił pokój, zacząłem go wołać z powrotem. Nie usłyszał; nie śmiałem wołać drugi raz i zasłoniwszy twarz rękami, pozostałem zatopiony w najgłębszej rozpacz.

## Rozdział IV

Nazajutrz o wschodzie słońca pierwszą myślą, jaka mnie zbudziła, było pytanie: „Co pocznę teraz?”

Nie miałem żadnego zawodu, żadnego zajęcia. Studiowałem medycynę i prawo, nie mogąc się namyślić na żadną z tych dróg życia; pracowałem pół roku u bankiera z taką niepunktualnością, iż byłem zmuszony złożyć na czas swoje funkcje, aby unikać odprawy. Studia moje były rozległe, ale powierzchowne; pamięć, nieskrzepiona ćwiczeniem, zapominała równie szybko, jak się uczyła.

Jedynym moim skarbem, po miłości, była niezależność. Od chwili dojrzałości żywiłem dla niej dziki kult i uświęciłem ją niejako w mym sercu. Pewnego dnia ojciec, myśląc już o mej przyszłości, poddał mi kilka zawodów, pozostawiając wybór między nimi. Stałem wsparty o okno, patrząc na chudą i samotną topolę kołyszącą się w ogrodzie. Zastanawiałem się nad tymi różnymi zajęciami, roztrząsałem je kolejno w głowie; po czym, nie mogąc wzbudzić w sobie żadnego zamiłowania, pozwalałem bujać myślom. Zdało mi się nagle, iż czuję, jak ziemia się porusza i że głucha i niewidzialna siła pędząca ją w przestrzeni staje się uchwytna moim zmysłem; widziałem ją, jak wstępuje w niebo; miałem wrażenie, że jestem niby na statku; topola, którą miałem przed oczami, widziała mi się niby maszt; wstałem, wyciągając ramiona, i krzyknąłem: „To już dość mało być przelotnym podróżnym na tym okręcie żeglującym w eterze; dość mało być człowiekiem, czarnym punktem na tym okręcie; chcę być człowiekiem, ale nie jakimś poszczególnym gatunkiem człowieka”.

Oto pierwszy ślub, jaki, czternastoletnim chłopcem, wyrzekłem w obliczu natury. Od tego czasu, jeżeli brałem się do czego, to jedynie przez posłuszeństwo dla ojca, ale nigdy nie mogąc przezwyciężyć odrazy.

Byłem tedy swobodny nie przez lenistwo, ale z własnej woli; zresztą, kochałem wszystkie dzieła boże, a bardzo niewiele ludzkich. Znałem z życia jedynie miłość, ze świata jedynie mą lubą i nie chciałem znać nic innego. Toteż zakochawszy się tuż po wyjściu z kolegium, wierzyłem szczerze, że to na całe życie i wszelka inna myśl pierzchnęła mi z głowy.

Życie wiodłem mało ruchliwe. Spędzałem dzień u lubej; największą mą przyjemnością było wyciągać ją na wieś w piękny letni dzień, kłaść się obok niej w lesie, na trawie lub mchu: widok natury w całej krasie był dla mnie zawsze najpotężniejszym *aphrodisiacum*. W zimie (ona lubiła się bawić), uganiał się po balach i maskaradach; znowuż tedy życie spływało na próżniactwie. Ponieważ, dopóki była mi wierna, myślałem tylko o niej, z chwilą gdy mnie zdradziła, zostałem bez jednej myśli.

Najlepsze pojęcie o ówczesnym stanie mego ducha mogę dać, porównując go do owych dzisiejszych modnych mieszkań, gdzie znachodzą się, zebrane i pomieszane razem, meble wszystkich czasów i krajów. Nasz wiek nie posiada form. Nie wycisnęliśmy piętna epoki ani na domach, ani na ogrodach, ani na niczym. Widuje się na ulicy ludzi z brodą strzyżoną jak za czasu Henryka III, innych wygolonych, innych z włosami jak na portretach Rafaela, innych jak za czasu Jezusa Chrystusa. Toteż apartamenty bogaczy są niby muzea starożytności: antyki, gotyk, Odrodzenie, Ludwik XIII, wszystko razem. Słowem, mamy coś ze wszystkich wieków, wyjąwszy nasz, rzecz niewidziana w żadnej innej epoce. Eklektyzm to nasz smak; bierzemy wszystko, co napotkamy, jedno dla piękności, drugie dla wygody, to znów dla starożytności, inną rzecz wreszcie zgoła dla jej szpetoty. Żyjemy jedynie wśród szczytków, jakby koniec świata był bliski.

Oto był mój stan ducha; wiele czytałem, prócz tego uczyłem się malować. Umiałem na pamięć mnóstwo rzeczy, ale nic porządnie; głowę miałem równocześnie pustą i spęczniałą jak gąbkę. Kochałem się kolejno we wszystkich poetach; ale ponieważ miałem naturę bardzo wrażliwą, ostatni z kolei zbrzydził mi zawsze resztę. Stworzyłem w sobie wielki lamus ruin, aż w końcu, zabiwszy w sobie pragnienie długim spijaniem wszystkiego, co nowe i nieznanne, sam uczułem się ruiną.

Jednakże w tej ruinie żyło coś bardzo młodego: nadzieja mego serca, które było jeszcze dzieckiem.

Nadzieja ta, której nic nie skaziło ani nie zepsuło, i która pod wpływem miłości wybujała ponad miarę, otrzymała nagle śmiertelny cios. Zdrada kochanki ugodziła ją w pełni lotu; kiedy myślałem o tym, czułem, że mi w duszy omdlewa coś konwulsyjnie niby ranny ptak w agonii.

Społeczeństwo, które czyni tyle złego, podobne jest do owego indyjskiego węża, którego mieszkaniem jest gąszcz rośliny leczącej jego ukąszenie: tak i ono podsuwa prawie zawsze lekarstwo równocześnie z cierpieniem, jakie sprawiło. I tak człowiek, który posiada uregulowany tryb życia, z rana interesy, o tej godzinie wizyty, o tej pracy, o tej miłości, może bezpiecznie utracić kochankę. Zajęcia jego i myśli są niby owi niewzruszeni żołnierze ustawieni w ordynku podczas bitwy; kula unosi jednego, sąsiedzi ściskają się w szeregu i nie znać ubytku.

Nie miałem tej ucieczki, odkąd zostałem sam: natura, moja ukochana matka, zdała mi się, przeciwnie, bardziej rozległa i pusta niż kiedykolwiek. Gdybym mógł zupełnie zapomnieć mą lubą, byłbym ocalony. Iluż ludziom nie trzeba ani tyle do wyleczenia! Tacy, niezdolni kochać niewierną kobietę, okazują w podobnych okolicznościach podziwu godny hart. Ale czyż taką jest miłość dziesiętnastoletniego chłopca, który, nie mając pojęcia o świecie, cały żyjąc pragnieniem, czuje w sobie zaród wszystkich namiętności? Czyż ten wiek wątpi o czymkolwiek? Na prawo, na lewo, hen, na widnokręgu, wszędzie woła go jakiś głos. Wszystko jest żądzą, wszystko marzeniem. Nie ma rzeczywistości, która by się ostała dla młodego serca; nie masz tak sękatego i twardego dębu, z którego by nie wyszła driada; gdyby się miało sto ramion, nie lękałoby się otworzyć ich w próżnię; wystarczy utulić w nie kochankę i – próżnia zapełniona.

Co do mnie, nie pojmowałem, iżby można robić co innego niż kochać; kiedy mi mówiono o innym zatrudnieniu, wzruszałem ramionami. Miłość moja była wpółdzika; na całym życiu moim wyciskała coś jakby mniszego i surowego. Przytoczę tylko jeden przykład. Luba dała mi medalion ze swoją miniaturą; nosiłem go na sercu, co jest zresztą rzeczą dość pospolitą; ale znalazłszy pewnego dnia u antykwariusza żelazną dyscyplinę z blaszką najeżoną gwoździakami na końcu, kazałem przytwierdzić medalion do tej blaszki i tak go nosiłem. Gwoździe te, które wchodziły mi w pierś za każdym ruchem, sprawiały mi tak osobliwą rozkosz, iż przyciskałem niekiedy rękę, aby je czuć tym głębiej. Wiem, że to szaleństwo; alboż miłość robi takie tylko szaleństwa?

Od czasu jak mnie ta kobieta zdradziła, zdjąłem okrutny medalion. Nie umiem opisać, z jakim smutkiem odjąłem żelazną blachę i jakie westchnienie wydało moje serce, skoro się uczuło wyswobodzone! „Biedne blizny – mówiłem – macie się zatem zatrzeć? Ach rano moja, droga rano, jakież balsam przyłożę na ciebie?”

Daremnie nienawidziłem tej kobiety; miałem ją, można rzec, we krwi; przeklinałem ją, ale śniłem o niej. Co poradzić na to? co poradzić na sen? jakież argument przeciwstawić wspomnieniom krwi i ciała? Makbet, zabiwszy Dunkana, powiada, iż ocean nie umyłby jego rąk; nie byłby też obmył moich blizn. Mówiłem Desgenais'mu: „Cóż chcesz? z chwilą gdy usnę, jej głowa znajduje się tu, na tej poduszce”.

Żyłem dotąd jedynie przez tę kobietę; zwątpić o niej, znaczyło zwątpić o wszystkim; przekląć ją, wszystkiego się zaprzec; stracić ją, wszystko zniweczyć. Przestałem gdziekolwiek bywać; świat zdawał mi się rojowiskiem dzikich zwierząt, potworów, krokodyli. Co bądź mi mówiono, aby mnie rozerwać, odpowiadałem: „Tak, to doskonała rada, i możecie być pewni, że z niej nie skorzystam”.

Stawałem w oknie i powiadałem sobie; „Ona przyjdzie, pewien jestem; idzie, skręca w ulicę, czuję, jak się zbliża. Nie może żyć beze mnie, jak ja bez niej. Co jej powiem? Z jaką twarzą ją przyjmę?” Tu przypominała mi się jej zdrada. „Ha! niech nie przychodzi! – wołałem – niech się nie zbliża! byłbym zdolny ją zabić!”

Od ostatniego listu nie słyszałem już o niej. „Cóż ona robi wreszcie? – mówiłem sobie. – Kocha innego? kochajmyż i my inną. Kogo?” I szukając w duchu, słyszałem równocześnie niby daleki głos,

mówiący: „Ty, inną niż mnie? Dwie istoty, które się kochają, tulą w uścisku i które nie są tobą i mną? Czy to możliwe? Czyś ty oszalał?”

– Człowieku małego serca! – mówił Desgenais – kiedyż wreszcie zapomnisz tę kobietę? Czyż to taka strata? Piękne mi szczęście! Weź pierwszą z brzegu.

– Nie – odpowiadałem – niewielka strata. Czyż nie uczyniłem tego, com był powinien? czy nie wypędziłem jej stąd? Co możesz mi tedy zarzucić? Reszta, to moja rzecz; bykowi zranionemu w cyrku wolno lec w kącie ze szpadą matadora w grzbiecie i skończyć w spokoju. Cóż ja mam, powiedz mi, począć z sobą na świecie? Co to są te twoje **pierwsze z brzegu**? Pokażesz mi czyste niebo, drzewa i domy, ludzi mówiących, pijących, śpiewających, kobiety w tańcu i konie w galopie. Wszystko to, to nie życie, to próżny zgiełk życia. Zostaw mnie, zostaw mnie w spokoju.

## Rozdział V

Skoro Desgenais ujrzał, iż nie ma lekarstwa na mą rozpacz i że nie chce nikogo słuchać ani też wyjść z pokoju, spoważniał. Jednego wieczora zjawił się z uroczystą miną; zagadnął mnie o mą kochankę i przeszedł w ton silnie drwiący, wyrażając się jak najgorzej o kobietach. Na wpół siedząc na łóżku, wsparty na łokciu, słuchałem go z uwagą.

Był to jeden z owych posępnych wieczorów, kiedy to świst wiatru podobny jest do jęku umierającego; ostry deszcz smagał szyby, od czasu do czasu zaś zalegała śmiertelna cisza. Cała natura cierpi wówczas; drzewa poruszają się boleśnie lub też pochylają smutno głowę; ptactwo kuli się w krzakach; ulice pustoszeją. Rana dolegała mi. Wczoraj jeszcze miałem kochankę i przyjaciela; kochanka zdradziła mnie, przyjaciel rozciągnął mnie na łożu boleści. Nie rozróżniałem jeszcze jasno, co się dzieje w mej głowie; miałem uczucie na przemian, to żem prześnił sen pełen grozy i że wystarczy mi zamknąć oczy, aby się obudzić nazajutrz szczęśliwym; to znów całe życie moje zdało mi się pociesznym i dziecinnym majakiem, którego fałsz oto się odsłonił. Desgenais siedział naprzeciw mnie, blisko lampy; był stanowczy i poważny, z wiecznym uśmiechem. Był to zacny człowiek, ale suchy jak kamień szlifierski. Przedwczesne doświadczenie przyprawiło go w młodym wieku o tysinę; znał życie i wyplakał się swojego czasu; ale cierpienie jego nosiło pancerz; był materialistą, czekał śmierci.

— Oktawie – mówił – patrząc na ciebie, widzę, że wierzysz w miłość wedle romansopisarzy i poetów; wierzysz, jednym słowem, w to, co się tu mówi, a nie w to, co się robi. To pochodzi stąd, że nie myślisz logicznie i to może cię zagnać w wielkie nieszczęścia.

Poeci przedstawiają miłość tak, jak rzeźbiarze malują nam piękność, jak muzycy tworzą melodie; obdarzeni wrażliwą i subtelną organizacją, skupiają z inteligencją i zapałem najczystsze pierwiastki życia, najpiękniejsze linie materii, najharmonijniejsze głosy przyrody. Była, powiadają, w Atenach mnogość ładnych dziewczyn; Praksyteles wyrysował je wszystkie kolejno; po czym ze wszystkich tych piękności, z których każda miała swoją wadę, uczynił piękność jedyną, bez skazy, i stworzył Wenus. Pierwszy człowiek, który sporządził instrument muzyczny i dał tej sztuce zasady i prawa, słuchał długo przedtem szumu trzciny i śpiewu ptaków. Tak poeci, znający życie, napatrzili się licznych miłości mniej lub więcej przemijających, odczuli głęboko, do jakiego stopnia wzniosłej egzaltacji może się wnieść chwilami namiętność: za czym, wyłączając z natury ludzkiej wszystkie czynniki, które ją ponizają, stworzyli tajemnicze imiona przekazywane z wieku na wiek przez usta ludzkie: Dafnis i Chloe, Hero i Leander, Pyram i Tysbe.

Chcieć szukać w życiu rzeczywistym miłości równie wiecznej i zupełnej, jest to to samo, co szukać na rynku kobiet równie pięknych jak Wenus albo żądać, aby słowiki śpiewały symfonie Beethovena.

Doskonałość nie istnieje; zrozumieć ją jest tryumfem ludzkiej inteligencji; pragnąć ją posiadać, najniebezpieczniejszym z szaleństw. Otwórz okno, Oktawie; czy nie widzisz nieskończoności? nie czujesz, że niebo jest bez granic? czy rozum ci tego nie mówi? Mimo to, czy pojmujesz nieskończoność? czy masz pojęcie o czymś, co jest bez końca, ty, który urodziłeś się wczoraj i umrzesz jutro? Ten widok bezkresu spowodował wszędzie po świecie największe szaleństwa. Religie płyną z tego źródła; aby osiągnąć nieskończoność, Katon poderżnął sobie gardło; chrześcijanie oddawali się na pastwę lwom, hugonoci katolikom; wszystkie ludy na ziemi wyciągały ramiona ku tej bezmiernej przestrzeni i chciały się w nią rzucić. Szalencie chce osiągnąć niebo; mędrzec podziwia je, klęka i nie pragnie.

Doskonałość, mój drogi, tak samo nie jest dla nas jak nieskończoność. Nie trzeba jej szukać w niczym, żądać od niczego, ani od miłości, ani od piękności, ani od szczęścia, ani od cnoty; ale trzeba ją kochać, aby być cnotliwym, pięknym i szczęśliwym tyle, ile człowiek zdoła.

Przypuśćmy, że masz u siebie obraz Rafaela, który uważałeś za doskonały; przypuśćmy, iż wczoraj wieczór, przyglądając się z bliska, odkryłeś w jednej z figur obrazu grubo błędny rysunek, zwichnięty członek lub źle umieszczony mięsień, jak to podobno ma miejsce w owej figurze starożytnego gladiatora; sprawi ci to, oczywiście, wielką przykrość, nie rzucisz wszelako obrazu w ogień; powiesz jedynie, że nie jest doskonały, ale że są w nim szczegóły godne podziwu.

Istnieją kobiety, którym wrodzona poczciwość i szczerść serca bronią mieć dwóch kochanków naraz. Myślałeś, że twoja luba jest z ich liczby; byłoby to lepiej, przyznaję. Odkryłeś, że cię oszukuje; czyż to powód, aby nią gardzić, znęcać się nad nią, uważać ją wreszcie za godną nienawiści?

Gdyby nawet twoja luba nigdy cię nie oszukała i gdyby dziś kochała tylko ciebie, pomyśl, Oktawie, jak miłość jej byłaby daleką od doskonałości, jak byłaby ludzka, mała, określona prawami światowej obłudy; pomyśl, że inny posiadał ją przed tobą, ba, niejeden nawet; że inni będą ją posiadali po tobie.

Zastanów się; przyczyną twojej obecnej rozpaczki jest pojęcie doskonałości, jakie sobie wytworzyłeś o kochance, a które ona zawiodła. Ale z chwilą, gdy dobrze zrozumiesz, iż samo to zasadnicze pojęcie było ludzkie, małe i ograniczone, ujrzysz, iż jeden stopień więcej lub mniej na tej wielkiej przegniłej drabinie ludzkiej niedoskonałości, to bardzo niewiele...

Przyznasz chętnie, nieprawdaż? że twoja kochanka należała i będzie należała do innych: powiesz bez wątpienia, że nie dbasz o to, byleby kochała ciebie i była tylko twoją, dopóki cię będzie kochać. Ale ja ci mówię: skoro należała do innych, cóż znaczy, czy to było wczoraj, czy przed dwoma laty? Skoro będzie należała do innych, cóż znaczy, czy to będzie jutro, czy znów za dwa lata? Skoro ma cię kochać tylko przez jakiś czas i skoro cię kocha, cóż znaczy, czy to będzie przez dwa lata, czy przez jedną noc? Czy jesteś człowiekiem, Oktawie? Widzisz, jak liście opadają z drzew, jak słońce wschodzi i zachodzi? Słyszysz, jak zegar życia drga przy każdym uderzeniu twego serca? Czyż tak wielka jest tedy dla nas różnica między miłością trwającą rok a godzinę? Powiedz, szaleńcze, który przez to okno wielkości dłoni możesz widzieć nieskończoność?

Nazywasz uczciwą kobietę, która cię kochała wiernie przez dwa lata; posiadasz widocznie jakiś osobny kalendarz dla ocenienia, ile czasu potrzeba, aby pocałunki mężczyzny obeschły na wargach kobiety. Czynisz wielką różnicę między kobietą, która się oddaje dla pieniędzy, a tą, która się oddaje dla rozkoszy; między tą, która się oddaje z próżności, a tą, która się oddaje z poświęcenia. Pośród kobiet, które kupujesz, płacisz jedne drożej od innych; pośród tych, u których szukasz rozkoszy zmysłów, powierzasz się z większym zaufaniem jednym niż drugiem; pośród tych, które posiadasz przez próżność, czujesz się bardziej dumny z tej niż z owej; wśród tych wreszcie, którym poświęcasz życie, są takie, którym oddałbyś trzecią część serca, innym czwartą, innym połowę, wedle ich wychowania, obyczajów, nazwiska, urodzenia, piękności, temperamentu, okoliczności, zależnie od tego, co o tym mówią, zależnie od godziny, od tego, co piłeś na obiad.

Podobasz się kobietom, Oktawie, dlatego że jesteś młody, jurny, że masz regularny owal twarzy, że jesteś starannie uczesany; ale z tej samej przyczyny, mój przyjacielu, nie wiesz, co to jest kobieta.

Naturze przede wszystkim chodzi o utrwalenie gatunku; wszędzie, od szczytu gór do dna oceanu, życie lęka się zagłady. Dla zachowania swego dzieła Bóg ustanowił tedy prawo, iż największą rozkoszą żyjących istot będzie czynność płodzenia. Drzewo palmowe, śląc swojej samiczce żyzny pył, drży z miłości w gorącym powiewie wiatru; jeleń w czasie rykowiska rozpruwa brzuch łani, która się opiera; gołębica omdlewa pod skrzydłami samca niby rozkochana mimoza; człowiek zaś, dzierżąc w ramionach swoją towarzyszkę, na łonie wszechpotężnej natury, czuje jak w sercu jego drga boska iskra, która go stworzyła.

O mój przyjacielu! kiedy w nagich ramionach tulisz piękną i krzepką kobietę, jeżeli rozkosz wyciska ci łyzy, jeżeli czujesz jak na twych wargach łkają zaklęcia wiekuiestej miłości, jeżeli nieskończoność zstępuje w twoje serce, nie lękaj się poddać wzruszeniu, bodaj w objęciach kurtyzany.

Ale nie mieszaj wina z pijaństwem; nie przypisuj boskości czarze, z której pijesz boski napój; nie dziw się wieczorem, iż znajdziesz ją pustą i strzaskaną. To kobieta, to kruche naczynie, ulepione przez garnarza z gliny.

Podziękuj Bogu, że ci ukazał niebo, ale dlatego, że trzepoczesz skrzydłami, nie uważaj się za ptaka. Nawet ptaki nie mogą przebyć chmur; jest sfera, w której zbywa im powietrza; skowronek, który wzbije się z pieśnią w mgły poranne, opada niekiedy martwy na ziemię. Bierz z miłości tyle, ile wstrzeźliwy człowiek z wina; nie stawaj się pijakiem. Jeśli kochanka jest szczerą i wierną, Kochaj ją za to; jeśli nie posiada tych cnót, ale jest młoda i ładna, Kochaj ją, że jest młoda i ładna; jeśli miła i pełna dowcipu, Kochaj ją także; jeśli zaś nie ma żadnej z tych zalet, ale cię kocha, Kochaj ją i za to. Miłości nie spotyka się co dzień.

Nie wydzieraj sobie włosów i nie myśl o samobójstwie dlatego, że masz rywala. Powiadasz, że luba oszukuje cię z drugim, i duma twoja cierpi; zmień jedynie słowa; powiedz sobie, że to jego oszukuje dla ciebie, i oto możesz się puszyć.

Nie twórz sobie zasad i nie mów, że żądasz miłości wyłącznej; sam jesteś człowiekiem i sam jesteś zmienny; mówiąc to zatem, zmuszony jesteś dodać po cichu: „O ile to możliwe”.

Bierz pogodę, jak ją Bóg nadarzy, wiatr taki, jaki dmie, kobietę, jaka jest. Hiszpanki, najprzedniejsze z kobiet, Kochają wiernie; serce mają szczerą i gwałtowne, ale noszą sztylet na sercu. Włoszki są lubieżne, ale szukają szerokich barów i mierzą kochankę krawieckim łokciem. Angielki są egzaltowane i melancholiczne, ale zimne i wymuszone. Niemki są tkliwe i słodkie, ale mdłe i jednostajne. Francuzki są sprytnie, wykwintne i rozkoszne, ale kłamią jak istne demony.

Przede wszystkim nie wiń kobiet, iż są tym, czym są; myśmy to uczynili je takimi, niszcząc dzieło natury, gdzieśmy tylko mogli.

Przemysłna natura stworzyła dziewicę na kochankę: ale za pierwszym dzieckiem włosy jej wypadają, pierś się zniekształca, ciało jej szpeci blizna; kobieta jest stworzona, aby była matką. Mężczyzna, zmierzony szczerbami jej piękności, odleciałby ją może; ale dziecko czepia się go z płaczem. Oto rodzina, prawo ludzkie; wszystko, co się odeń oddała, jest potworne. Cnota wieśniaków zasada się na tym, iż żony ich są to przyrządy do rodzenia i karmienia, jak oni znów przyrządy do uprawy roli. Nie znają fałszywych włosów ani blanszu, ale uściski ich nie sieją zarazy; prostoduszne ich pieśczęty nie użyczają pamiątki odkrycia Ameryki. Te kobiety nie są zmysłowe, ale są zdrowe; mają szerokie i zgrubiałe ręce, ale nie serca.

Cywilizacja robi wszystko na wspaniałą naturze. Dziewicę stworzoną na to, aby biegała w słońcu, aby podziwiała nagich szermierzy jak w Sparcie, aby jej wolno było wybierać, Kochać, miejskie nasze obyczaje zamykają pod kluczem; w zamian za to chowa romans pod krucyfiksem; wyblakła i bezczynna daje folgę swym chuciom w obliczu zwierciadła; wśród ciszy nocnej kała tę piękność, która ją dławi i której trzeba powietrza. Następnie z dnia na dzień wydobywa się ją na światło, niewiedzącą nic, niekochającą nic, pragnącą wszystkiego; stara baba daje jej nauki, szepce jej plugastwa do ucha i rzuca ją w łóżce obcego mężczyzny, który ją gwałci. Oto małżeństwo, to znaczy rodzina wedle cywilizacji. I oto biedna dziewczyna rodzi dziecko; włosy jej, kształtna pierś, ciało, wszystko niszczy i więdnie; straciła wdzięk kochanki, a nie kochała! Poczęła, urodziła, pyta się sama, czemu. Przynoszą jej dziecko i mówią: „Jesteś matką”. Odpowiada: „Nie jestem matką; dajcie to dziecko kobiecie, która ma mleko; w moich piersiach go nie ma; nie tą drogą kobieta przychodzi do pokarmu”. Mąż odpowiada, iż żona ma słuszość, że dziecko by mu ją zbrzydziło. Schodzą się krewni, stroją ją, obrzucają koronkami zakrwawione łóżko; pielęgnują ją, leczą z choroby macierzyństwa. Za miesiąc już jest w Tuilleriach, na balu, w Operze; dziecko w Chaillot, w Auxerre, mąż w lupanarze. Tuzin młodych ludzi mówi jej o miłości, poświęceniu, sympatii, wiecznym uścisku, o wszystkim, czym wzbiera jej serce. Bierze jednego z nich, tuli go do łona; on hańbi ją, odwraca się i idzie na giełdę. Początek już zrobiony: biedaczka płacze przez jedną noc i spostrzega, że od łez czerwienieją oczy. Bierze pocieszyciela, po którego stracie pociesza ją znów inny; i tak aż do trzydziestu lat i dalej. Wówczas to, zużyta i skażona, wypruta ze wszystkiego, co ludzkie, nawet ze wstrętu, spotyka jednego

wieczora pięknego młodzieńca o czarnych włosach, płomiennym oku, sercu drgającym nadzieją; poznaje swoją młodość, przypomina sobie, co wycierpiała, i, oddając mu lekcje, jakie jej dało życie, oducza go na zawsze od kochania.

Oto kobieta taka, jakąśmy ją zrobili; oto nasze kochanki. Ale cóż! zawsze to kobiety i można spędzić z nimi miłą chwilę!

Jeżeli jesteś ostro kuty, pewien samego siebie, naprawdę mężczyzna, oto co ci radzę: rzuć się bez obawy w wir świata; bierz kolejno kurtyzany, tancerki, mieszczańki i margrabiny. Bądź stały i niewierny, smutny i wesoły, niech cię zwodzą czy szanują; pytaj tylko o to, czy cię kochają: z tą chwilą bowiem cóż ci znaczą reszta?

Jeżeli jesteś człowiekiem miernym i przeciętnym, radzę, rozglądaj się jakiś czas, zanim uczynisz wybór, ale nie licz ani trochę na to, co będzie ci się zdawało, żeś znalazł w swej łubej.

Jeśliś jest człowiekiem słabym, łatwym do opanowania, skłonny do opuszczenia korzenia tam, gdzie widzisz trochę ziemi, sporządź sobie pancerz który by oparł się wszystkiemu; jeżeli bowiem dasz folę swej wątłej naturze, nie wzrośnie z ciebie nic, uschniesz, nie wydasz kwiatu ni owocu. Soki twoje przejdą w obcy miąższ; wszystkie twoje czyny będą blade jak liść wierzbowy; jedyną twą wilgocią będą własne łzy, jedynym pokarmem własne serce.

Ale jeśli jesteś naturą marzycielską, wierzącą w majaki i pragnącą je urzeczywistnić, odpowiem ci wręcz: „Miłość nie istnieje”.

Wchodzę bowiem w twoją myśl i mówię: Kochać znaczy oddać się ciałem i duszą lub, aby rzec lepiej, uczynić jedną istotę z dwojga; znaczy przechadzać się po słońcu, po wietrze, wśród pól i łąk, ciałem o czterech ramionach, dwóch głowach i dwóch sercach. Miłość to wiara, to religia ziemskiego szczęścia, to promienny trójkąt umieszczony w sklepieniu świątyni, którą nazywamy światem. Kochać znaczy poruszać się swobodnie w tej świątyni i mieć u boku istotę zdolną zrozumieć dlaczego myśl jakaś, słowo, kwiat sprawia, iż zatrzymujesz się i podnosisz głowę ku niebiańskiemu trójkątowi. Zażywać szlachetnych przymiotów człowieka jest wielkim dobrem; oto dlaczego geniusz jest piękną rzeczą; ale zdwajać swoją zdatność, tulić drugie serce i inteligencję do swojej inteligencji i serca, oto najwyższe szczęście. Nic ponad to nie uczynił Bóg dla człowieka; oto dlaczego miłość jest czymś więcej niż geniusz. Czy znasz kobiety, które by tak kochały? Nie, nie, sam przyznaj. Kochać dla nich to co innego; to wychodzić z domu zakwefioną, pisywać ukradkiem, stąpać ze drzeniem na końcach palców, spiskować i szydzić, zawracać omdlewającymi oczami, wydawać skromne westchnienia w sztywnej i nakrochmalonej sukni, a potem, zamknąwszy drzwi na klucz, zedrzeć ją przez głowę; upokorzyć rywalkę, oszukać męża, przywieść do rozpaczki kochanków; kochać dla nich to bawić się w kłamstwo, tak jak dzieci bawią się w chowanego: ohydna rozpusta serca, gorsza niż wszelkie wyuzdania rzymskie na saturnaliach Priapa; zbękarcona parodia występku jak cnoty; głucha i podła komedia pełna szeptów i kosych spojrzeń, gdzie wszystko jest małe, wytworne i zniekształcone niby owe chińskie monstra z porcelany; opłakane przedrzeźnianie wszystkiego, co jest pięknego i szpetnego, boskiego i piekielnego w świecie, cień bez ciała, szkielet boskiego stworzenia.

Tak mówił Desgenais świszczącym głosem, w milczeniu nocy.

## Rozdział VI

Nazajutrz przed obiadem znalazłem się w Lasku Bulońskim; czas był posepny. Przybywszy do bramy Maillot, puściłem cugle wolno i utonawszy w głębokiej zadumie, przechodziłem stopniowo w głowie słowa Desgenais'go.

Mijając aleję, usłyszałem, że ktoś mnie woła. Obróciłem się i ujrzałem w otwartym powozie przyjaciółkę mej kochanki. Kazała woźnicy zatrzymać i podając przyjaźnie rękę, zaprosiła mnie, o ile nie mam nic do roboty, na obiad.

Osoba ta, nazwiskiem pani Levasseur, była mała, pulchna i jasna blondynka; nie lubiłem jej nigdy, nie wiem czemu, gdyż stosunki nasze były zawsze raczej przyjazne. Mimo to nie mogłem się oprzeć: uściśnąłem jej rękę dziękując za zaproszenie; czułem, że będziemy mówili o **tamtej**.

Poleciała służącemu aby odprowadził mego konia; wsiałem do powozu i ruszyliśmy w stronę Paryża. Deszcz zaczął padać, woźnica podniósł dach; tak zamknięci sam na sam trwaliśmy zrazu w milczeniu. Patrzałem na nią z niewysłowionym smutkiem; nie tylko była przyjaciółką zdrajczyni, ale i jej powiernicą. Często za szczęśliwych dni wieczorem dotrzymywała nam towarzystwa. Z jakąż niecierpliwością znosiłem ją wówczas! Jak rachowałem chwile, które była z nami! Stąd zapewne moja niechęć. Za nic mi stało to, iż życzliwie patrzy na naszą miłość, że mnie broni nawet wobec lubej w dniach sprzeczki; cała jej przyjaźń nie mogła okupić w moich oczach jej natręctwa. Mimo dobroci i usług zdawała mi się brzydka, męcząca. Ach, jakże teraz wydała mi się ładna! Patrzałem na jej ręce, suknie; każdy jej ruch wnikał mi do serca; cała przeszłość była w nich wypisana. Widziała to, czuła, co przechodzę i ile wspomnień mnie tłoczy. Tak upłynęła droga; ja patrzałem na nią, ona uśmiechała się do mnie. Wreszcie, kiedy wjechaliśmy w ulice Paryża, ujęła mnie za rękę:

– I cóż? – rzekła.

– Więc tak – odparłem szlochając – niech jej to pani powie, jeśli pani chce.

To mówiąc, załamem się łzami.

Skoro po obiedzie znaleźliśmy się przy kominku, rzekła:

– Powiedz mi pan, czy ta cała sprawa jest nieodwołalna? czy nie ma sposobu?

– Niestety! – odparłem – nieodwołalną jest jedynie boleść, która mnie zabija. Dzieje moje zamykają się w niewielu słowach: nie mogę ani jej kochać, ani kochać innej, ani istnieć bez miłości.

Zanurzyła się w fotelu, twarz jej przybrała wyraz współczucia. Długo zdawała się dumać i zagłębiać w siebie, jakby znajdując oddźwięk we własnym sercu. Oczy jej zamglily się, utonęła niby we wspomnieniu. Wyciągnęła rękę, zbliżyłem się.

– I ja – szepnęła – i ja także poznałam toż samo.

Żywe wzruszenie przerwało jej.

Ze wszystkich sióstr miłości jedną z najpiękniejszych jest litość. Trzymałem panią Levasseur za rękę; osunęła mi się niemal w ramiona; zrazu zaczęła gorąco przemawiać w obronie mej lubej, bolejąc ze mną i usprawiedliwiając ją zarazem. Było mi coraz smutniej; co mogłem odpowiedzieć? Stopniowo zaczęła mówić o sobie.

Niedawno temu (mówiła), człowiek którego kochała porzucił ją. Poświęciła dlań bardzo wiele; nadszarpnęła zarówno swój majątek jak dobrą sławę. Mąż, którego mściwość znała, odgrażał się. Mówiąc, płakała; przejąłem się do tego stopnia, iż słuchając o jej niedolach, zapomniałem o własnych. Wydano ją za mąż niemal przemocą, walczyła długo; ale nie żałuje niczego, chyba straconej miłości. Miałem nawet wrażenie, iż obwinia się poniekąd, że nie umiała zachować serca kochanka i że poczyniła sobie wobec niego zbyt lekko.

Ulżywszy sercu, trwała przez chwilę zakłopotana i niema.

– Pani – rzekłem – to nie przypadek zawiódł mnie dziś do Lasku. Pozwól mi wierzyć, że boleści ludzkie są niby zbłąkane siostry, ale że istnieje kędyś dobry anioł, który kojarzy niekiedy z umysłu wątłe dłonie wyciągające się ku Bogu. Skoro panią spotkałem i skoro mnie pani zawołała, nie żałuj,

żeś mi otwarła serce; i kto bądź by cię słuchał, nie żałuj nigdy łez. Sekret, jaki mi powierzasz, jest tylko łzą spadłą z twoich oczu, ale ta łza została na mym sercu. Niech mi pani pozwoli odwiedzić się jeszcze i cierpmy niekiedy razem.

Mówiąc te słowa, uczułem przyływ tak żywej sympatii, iż nie zastanawiając się, uściskałem ją; nie przyszło mi nawet na myśl, abym ją mógł obrazić, i ona sama jakby nie zauważyła tego.

Głęboka cisza panowała w całym domu. Któryś z lokatorów był chory, rozsypano słomę na ulicy, tak iż pojazdy nie czyniły najłżejszego hałasu. Siedziałem koło niej, trzymając ją w ramionach i oddając się jednemu z najśłodszych wzruszeń serca, uczuciu podzielanego bólu.

Rozmowa nasza przybrała odcień najserdeczniejszego wylania. Ona zwierzała mi swoje cierpienia, ja opowiadałem jej swoje; z tych dwóch boleści, które zaplatały się z sobą, czułem, jak wznosi się jakaś słodycz, jakiś pocieszający głos, niby czysty i niebiański akord zrodzony z współdzwięczenia dwóch skarżących się jęków. Wśród tego, pochylony nad panią Levasseur, widziałem tylko jej twarz. Powstawszy i oddaliwszy się nieco, spostrzegłem, iż podczas gdyśmy rozmawiali, ona oparła stopę dość wysoko o obramienie kominka, tak iż odsłoniła nogę niemal do kolana. Zdało mi się osobliwe, iż widząc moje pomieszenie, nie zmieniła pozycji; cofnąłem się o kilka kroków, odwracając głowę, aby jej dać czas na uporządkowanie stroju; ani drgnęła. Podeszedłem bliżej, oparłem się o kominiek i stałem w milczeniu, patrząc na ten nieład stroju, w istocie nazbyt odrażający. Spotkałem wreszcie jej oczy i ujrzałem jasno, iż ona ma zupełną świadomość tego, co czyni. Piorun we mnie strzelił; zrozumiałem, iż byłem igraszka potwornego bezwstydu, że boleść sama była dla tej kobiety jedynie podrażnieniem zmysłów. Bez słowa wzięłem kapelusz; opuściła z wolna suknie, ja zaś wyszedłem, składając głęboki ukłon.

## Rozdział VII

Wróciwszy do domu, zastałem na środku pokoju wielką drewnianą skrzynię. Ciotka umarła i na mnie przypadła część nieznacznego zresztą dziedzictwa. Skrzynia ta zawierała, prócz innych obojętnych przedmiotów, sporo starych, zakurzonych książek. Nie wiedząc, co począć z sobą, żarty nudą, zabrałem się do czytania. Były to przeważnie romanse z epoki Ludwika XV; ciotka, osoba bardzo nabożna, odziedziczyła je prawdopodobnie sama i przechowała nie czytając; były to bowiem, można rzec, istne katechizmy rozpusty.

Posiadam osobliwą skłonność do zastanawiania się nad najdrobniejszymi wydarzeniami i nadawania im głębszego moralnego znaczenia; czynię z nich poniekąd niby ziarna różańca i staram się mimo woli nizać je na jedną nitkę.

Choćby się to miało wydać dziecinne z mej strony, przybycie tych książek w okolicznościach, w jakich się znajdowałem, uderzyło mnie. Pochłonałem je z goryczą i smutkiem bez granic, ze złamanym sercem i z uśmiechem na ustach. „Tak, macie słuszność – mówiłem – wy jedne znacie tajemnice życia; wy jedne ośmielacie się mówić, że nic nie istnieje poza rozpustą, obłudą i zepsuciem. Bądźcie mymi przyjacielami, przypalcie ranę mej duszy waszą żrącą trucizną; nauczcie mnie wierzyć w was”.

Podczas gdy się tak zatapiałem w ciemnościach, ulubieni poeci i uczeni spoczywali rozsypani w kurzu. Deptałem ich nogami w przystępie gniewu: „A wy – mówiłem – obłudni marzyciele, którzy uczycie jeno cierpieć, nędzni kuglarze frazesów, szarlatani, jeśliście znali prawdę, głupcy, jeśliście byli szczerzy, kłamcy w każdym wypadku, którzy klecicie swoje baśnie kosztem ludzkiego serca, spalę was wszystkich aż do ostatniego!”

Wśród tego łyzy przychodziły mi z pomocą; czułem iż jedyną prawdą jest moja boleść. „Dobrze więc! – krzyczałem w obłędzie – powiedzcie mi, dobrzy i źli geniusze, dobrzy i źli doradcy, powiedzcie, co trzeba czynić! Wybierzcież rozjemcę z pośród siebie”.

Pochwyliłem starą Biblię i otwarłem na los szczęścia. „Odpowiedz ty, księgo boża – rzekłem – posłuchajmyż twego zdania”. Trafiłem na te słowa Eklezjasty, rozdział IX:

„Zaprawdę to wszystko uważałem w sercu swym, abym to wszystko objaśnił, że sprawiedliwi i mądrzy z sprawami swymi są w rękach Bożych, a iż ani miłości ani nienawiści nie zna człowiek ze wszystkich rzeczy, które są przed obliczem jego.

Wszystko się dzieje jednakowo wszystkim; jednoż przychodzi na sprawiedliwego i niezbożnego, na dobrego i na złego, na czystego i nieczystego, na ofiarującego i na tego, który nie ofiaruje; na dobrego i na grzesznego; na przysięgającego i na tego, co się przysięgi boi.

A toć jest najgorsza między wszystkim, co się dzieje pod słońcem, iż jednoż przychodzi na wszystkich; a owszem iż serce synów ludzkich pełne jest złego, a iż głupstwo trzyma się serca ich za żywota ich, a potem idą do umarłych”.

Zdumiałem się, przeczytawszy te słowa; nie spodziewałem się znaleźć podobnego uczucia w Biblii. „Tak więc – rzekłem – i ty także wątpisz, księgo nadziei!”

Co wyobrażają sobie tedy astronomowie, kiedy w oznaczonym punkcie, o danej godzinie, przepowiadają zjawienie komety, najbardziej kapryśnego z wędrowców niebieskich? Co przyrodnicy, kiedy pokazują przez szkiełko mikroskopu żyjątko w kropli wody? Czy sądzą tedy, iż wymyślili to, co widzą i że ich mikroskopy i lunety narzucają prawa naturze? Co wyobrażał sobie tedy pierwszy prawodawca ludzki, kiedy, siląc się położyć pierwszy kamień społecznej budowli, podrażniony zapewne przez jakiegoś niewczesnego gadułę, uderzył w tablice spisowe i uczuł krzyżące w swych wnętrznościach prawo odwetu? Czyż tedy wymyślił sprawiedliwość? A ten, który pierwszy wydarł z ziemi owoc zasadzony przez sąsiada, ukrył go pod płaszczem i uciekł rozglądając się dokoła, czy on

wynalazł wstyd? A ten, który, dopadłszy łupieżcę owocu swej pracy, pierwszy przebaczył mu winę i zamiast podnieść nań rękę rzekł: „Posiądź się i przyjm jeszcze to”; kiedy, oddawszy tak dobre za złe, podniósł głowę ku niebu i uczuł, jak serce mu drży i oczy wilżą się łzami, a kolana gną się do ziemi, czyż on wynalazł cnotę? O Boże! Boże! oto kobieta mówi o miłości i oszukuje mnie; oto mężczyzna mówi o przyjaźni i radzi mi szukać zapomnienia w rozpuście; oto druga kobieta płacze i na pociechę częstuje mnie swą łydką; oto Biblia mówi o Bogu i odpowiada: „Może wszystko to jest obojętne”.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.